

Patryk Kencki**POURCEAUGNAC – DREYNAR – NIEDOLE OBCEGO¹**

1.

Molierowski komediobalet *Monsieur de Pourceaugnac* po raz pierwszy został wystawiony 6 października 1669 dla rozweselenia Ludwika XIV na zamku w Chambord. 4 listopada spektakl powtórzono w Wersalu, a od 15 dnia tego miesiąca zaczęto go pokazywać na deskach paryskiego teatru w Palais-Royal. Trójaktowa sztuka ukazuje przypadki tytułowego Leonarda de Pourceaugnac, który przybywa do francuskiej stolicy, ażeby poślubić córkę Oronta Julię. Zaznaczyć wypada, iż konkurent ów nie budzi sympatii ani panny młodej, ani też czytelnika czy widza. Molière postarał się, aby sportretować Pourceaugnaca jako pozbawionego uroku prowincjusza i człowieka o podejrzanym rodowodzie. Jakkolwiek „de” w jego nazwisku zdaje się wskazywać na szlacheckich antenatów, to jednak wiele wskazuje, że mamy do czynienia raczej z udającym szlachcica kauzyperdą. Zresztą rzeczony nazwisko budzi raczej niezbyt dobre skojarzenia. Pourceau po francusku oznacza bowiem świnię, tudzież wieprza. Sprzymierzona z Julią Neryna wygłasza taki oto komentarz:

Samo nazwisko pana de Pourceaugnac budzi we mnie gniew straszliwy. Wściekła jestem: „pan de Pourceaugnac”. Wystarczy to tam nazwisko „pan de Pourceaugnac”, abym puściła wszystko z dymem, a nie dopuściła do tego małżeństwa i nie pozwoliła, abyś została choć trochę panią de Pourceaugnac. Pourceaugnac! Czyż można to ścierpieć? Nie. Pourceaugnac jest rzeczą, której zdzierżyć nie potrafię.²

¹ Niektóre z przedstawianych w tym tekście wniosków sygnalizowałem już w referacie *Franciszka Bohomolca „Dziedzic chytry” jako adaptacja Molierowskiej komedii „Monsieur de Pourceaugnac” / „Dziedzic chytry” de Franciszek Bohomolec comme une adaptation de „Monsieur de Pourceaugnac” de Molière* podczas odbywającej się w dniach 17–19 maja 2016 w Lublinie konferencji *Le théâtre à (re)découvrir / Teatr warty przypomnienia*. Referat ten ukaże się zarówno po polsku, jak i po francusku.

² Molière, *Monsieur de Pourceaugnac*, [w:] idem, *Oeuvres complètes*, Paris 2010, t. II, s. 204: „Le seul nom de Monsieur de Pourceaugnac m’a mis dans une colère effroyable. J’enrage de Monsieur de Pourceaugnac. Quand il n’y aurait que ce nom-là, Monsieur de Pourceaugnac, j’y brûlerai mes Livres, ou je romprai ce Mariage, et vous ne serez point Madame de Pourceaugnac. Pourceaugnac! Cela se peut-il souffrir? Non, Pourceaugnac est une chose que je ne saurais supporter”. Przekłady, o ile nie zaznaczono inaczej – P. K.

Niechęć do niechcianego konkurenta jest jednak w dużej mierze przezeń niezawiniona. Wszak wypływa ona z faktu, że Pourceaugnac jest człowiekiem obcym. Akcja sztuki dzieje się w Paryżu³, a konkurent przybywa z prowincjonalnego Limoges. I ten fakt dość dobitnie skomentuje Neryna:

A czy taka osoba jak panienka stworzona jest dla jakiegoś Limuzyńczyka? Skoro ma taką zachciankę na ożenek, czemu nie weźmie sobie jakiejś Limuzyнки, a w spokoju nie zostawi chrześcijanek?⁴

Owa obcość staje się zresztą doskonałą okazją, aby pognębić nieznanego ani ludzi, ani paryskich stosunków, a do tego niegrzeszącego bystrością zalotnika. Ten, jak moglibyśmy powiedzieć, sposób na Pourceaugnaca, wiąże się z metateatralnym wymiarem omawianej komedii. Oto Neryna wraz ze sprytnym Neapolitańczykiem Sbriganim układają intrygę, która stanowi swoisty teatr w teatrze. Zasygnalizowane jest to w wypowiedziach postaci. Neryna zapowiada: „odegramy mu takie sztuki”⁵. Sbrigani ustala z ukochanym Julii, Erastem, że rozpocznie działania, „podczas gdy pan ze swojej strony będzie trzymał w gotowości pozostałych aktorów komedii”⁶, a Erast na te słowa prosi Julię: „pamiętaj swoją rolę”⁷.

Na początku intryganci postarają się zdobyć zaufanie Pourceaugnaca. Kiedy ten pojawi się na scenie, ścigany przez wyśmiewających go i zaczepiających gapiów, Sbrigani odegra przed nim rolę przyjaźnie nastawionego człowieka, tym bardziej przekonującą, że przecież jako Neapolitańczyk także jest w Paryżu przybyszem.

Zgodnie z przewidywaniami naiwny Pourceaugnac przyjmuje narzuconą mu rolę i staje się nie tyle nawet postacią komiczną, ile najprawdziwszym pośmiewiskiem, ofiarą inwencji i złośliwości swoich przeciwników. Z powodu łatwości da się umieścić u przekupionych medyków, którzy będą dążyć do jego uprzedmiotowienia i nie zaoszczędzą mu upokarzających zabiegów. Jego rzeczywisty stan zdrowia nie będzie odgrywał żadnej roli, skoro lekarze będą mogli interpretować objawy w sposób zupełnie swobodny, zmierzający jedynie do udowodnienia rzekomego szaleństwa. Nieprzypadkowo zresztą w tym miejscu pojawia się metateatralny akcent. Pytanie zadane przez pacjenta doskonale skomentuje sytuację: „Czyż gramy tu jakąś komedię?”⁸.

Hybrydyczna forma utworu (komediobalet) pozwoliła Molière’owi na groteskowe ukazanie medyków, którzy w muzyczno-tanecznej scenie ścigają

³ Ibidem, s. 200: „La Scène est à Paris”.

⁴ Ibidem, s. 204: „Et une Personne comme sous, est-elle faite pour un Limousin? S’il a envie de se marier, que ne prend-il une Limousine, et ne laisse-t-il en repos les Chrétiens?”

⁵ Ibidem, s. 204: „nous lui jouerons tant de pieces”.

⁶ Ibidem, s. 205: „tandis que de votre côté vous nous tiendrez prêts au besoin les autres Acteurs de la Comédie”.

⁷ Ibidem, s. 205: „souvenez-vous de votre Rôle”.

⁸ Molière, *Monsieur de Pourceaugnac*, op. cit., s. 220: „Est-ce que nous jouons ici une Comédie?”



Monsieur de Pourceaugnac, a. I, sc. 8, ryt. Pierre Brissart wg Jeana Sauvé;
Molière, *Les oeuvres*, t. 5, Paris 1682

Pourceaugnaca, dzierżąc przyrzady do wykonywania lewatywy. Ich działania są zresztą tyleż komiczne, ile przerażające. Stosowana przez nich przemoc idzie w parze z daleko posuniętymi pretensjami wobec pacjenta. Kiedy nieszczęśnikowi uda się jakoś uciec, jeden z medyków zagrozi: „odnalazłszy go, zamierzam doprowadzić do jego ujęcia jako dezertera medycyny i gwałciciela moich zaleceń”.⁹ Epizodyczny pobyt pod opieką lekarzy okazuje się dla Pourceaugnaca nader kompromitujący. Nietrudno teraz będzie przekonać Oronta, że kandydat na zięcia jest szaleńcem, a odpowiednie zmanipulowanie tego ostatniego sprawi, że podczas konfrontacji Orontowi trudno będzie odrzucić tę diagnozę. Aby ojciec Julii nie miał żadnych wątpliwości, przedstawiona mu zostanie historia o rzekomych długach niedoszłego zięcia i jego niecnym zamiarach złowienia posagu.

⁹ Ibidem, s. 224: „je veux le faire saisir où je le trouverai, comme Déserteur de la Médecine, et Infacteur de mes Ordonnances”.

Teraz intryganci muszą jeszcze jakoś zniechęcić przybysza do dalszego pobytu w Paryżu. W związku z tym Neryna wraz z Lucettą wcielają się w rolę rzekomych małżonek Pourceugnaca, które wraz z dziećmi ciągną za ojcem rodziny. Stworzenie pozoru, że nieszczęsny „Limuzyńczyk” jest bigamistą, nie tylko może całkowicie zdyskredytować go jako kandydata do ręki Julii, ale także zaprowadzić na szubienicę. Grożące mu niebezpieczeństwo podkreślone zostanie w groteskowy sposób, opiewane w intermedium przez komicznych adwokatów. Przerazony Pourceagnac będzie już tylko marzył o ucieczce, a intryganci wykorzystają tę sytuację, aby go odrwić i ograbić z pieniędzy. Wreszcie nieszczęsnemu przybyszowi uda się zbiec w kobiecym przebraniu. To *déguisement* po raz kolejny odsłania metateatralny potencjał komedii. Wszak Sbrigani będzie zachęcał nieszczęśnika wcielającego się w damę: „Oto więc popatrzmy trochę, jak będzie pan(i) to robić. Dobrze!”¹⁰ Zauważmy, że całą listę upokorzeń zamknie utrata tożsamości.

2.

Do Rzeczypospolitej *Monsieur de Pourceagnac* dotarł dopiero po kilkudziesięciu latach. W połowie XVIII wieku adaptował go jako *Dziedzica chytrego* ojciec Franciszek Bohomolec, wybitny jezuicki autor, komediopisarz tworzący najpierw repertuar dla scen organizowanych przez szkoły zakonne, a następnie związany ze sceną narodową. Jego twórczość dramatyczna stanowi ogniwo pomiędzy teatrem staropolskim a stanisławowskim. Podsumowując osiągnięcia okresu, u którego końca przyszło mu działać, stał się jednocześnie jednym z fundatorów dramatu oświeceniowego. Cechowała go dobra znajomość literatury dramatycznej. Badacze udokumentowali, że polski jezuita czerpał z twórczości przede wszystkim Molière’a, ale także Plauta, Carla Goldoniego, Contuccia Contucciego, Ludwiga Holberga, Gabriela Le Jaya, Jeana Antoine’a du Cerceau, Charles’a Poré, Pierre’a Corneille’a, Philippe’a Nericaulta Destouches’a, Jeana Françoisa Regnarda, Alaina René Lesage’a, Aimable’a Guillaume Prospera Brugièrè’a de Barante, Davida Augustina de Brueys, i wielu innych.¹¹ Wśród Bohomolcowych sztuk przeznaczonych na scenę zakonną znajdujemy adaptacje ośmiu komedii Molière’a. Obok *Dziedzica chytrego* są to *Figlacki polityk terażniejszej mody* (*Les fourberies de Scapin*), *Nieroztropność swym zamysłem szkodząca* (*L’étourdi*), *Natrętnicy* (*Les fâcheux*), *Mędrkowie* (*Les femmes savantes*), *Kawalerowie modni* (*Les précieuses ridicules*), *Rada skuteczna* (*Le mariage*

¹⁰ Ibidem, s. 242: „Çà, voyons un peu comme vous ferez. Bon”.

¹¹ W. Strusiński, *Komedia ks. Franciszka Bohomolca w stosunku do teatru francuskiego i włoskiego*, „Pamiętnik Literacki” 1905, s. 246–260; B. Kielski, *O wpływie Molièra na rozwój komedii polskiej*, „Rozprawy AU. Wydział Filologiczny” 1907 t. 42; W. Folkierski, *Molière en Pologne*, „Revue de la Littérature Comparée”, Paris 1922, s. 181–184; J. Gołąbek, *Komedie konwiktowe ks. Franciszka Bohomolca w zależności od Molièra*, „Rozprawy PAU. Wydział Filologiczny” 1922 t. 60; A. Stender-Petersen, *Die Schulkomödien des Paters Franciszek Bohomolec SJ*, Heidelberg 1923; J. Kott, *Bohomolec w terminie u Molièra*, [w:] *Księga pamiątkowa ku czci S. Pigonia*, Kraków 1961.



M. de Pourceaugnac. Act. 8.

Gravé par Vallon sur le dessin de Ch. Coypel et

Grand à Paris chez Sirey qu'on ne dit pas

Monsieur de Pourceaugnac, a. I, sc. 8, ryt. Charles Coypel według François Joullaina, 1726

forcé), *Pan do czasu (Le bourgeois gentilhomme)*. W okresie współpracy ze sceną narodową Bohomolec chętniej czerpał z innych autorów (szczególnie istotne okazały się jego zapożyczenia z Destouches'a). Ciekawe, że jego ostatnia sztuka to jednak *Podejrzliwi* według Molierowskiego *Sganarelle'a*. Jej premiera odbyła się w Teatrze Narodowym 2 sierpnia 1781.

Adaptując zapożyczone wzory, Bohomolec przede wszystkim starał się spolszczyć realia. Jeżeli w Molierowskim oryginale akcja rozgrywała się w Paryżu, to wolał osadzić ją w Warszawie, słusznie zakładając, że taki zabieg wywrze silniejsze wrażenie na widzach. Postaciom nadawał niekiedy polskie imiona i nazwiska (najsłynniejsza z takich postaci to Jan Figlacki). Prócz tego przekształcał akcję utworów. Wiązało się to z konwencją sceny jezuickiej, która nie pozwalała na wprowadzanie ról kobiecych. W szkołach tych naukę pobierali wszak sami chłopcy, a to oni wcielali się w sceniczne postaci.

Niemożliwość wprowadzania do komedii niewiast musiała stanowić nie lada wyzwanie dla komediopisarza. Weźmy bowiem pod uwagę, jaką rolę w tym gatunku odgrywały kobiety, jak istotna była ich obecność dla umotywowania męskich działań. Z uznaniem trzeba przyznać, że wyzwanie to jednak stało się okazją do twórczego przekształcania cudzoziemskich wzorców. Niekiedy Bohomolec ograniczał się do przemiany dziewcząt w młodzieńców, a relacji miłosnych w przyjaźń bądź fascynację. Niekiedy jednak konieczne były większe ingerencje.

W *Dziedzicu chytrym* Oront uruchamia akcję nie dzięki dysponowaniu ręką swej córki (Bohomolec w ogóle zrezygnował z postaci Julii i związanego z nią wątku), ale poprzez rozporządzenie spadkiem. Oto, jak dowiadujemy się z argumentu, „Oront, starzec bogaty, rozgniewawszy się na Ernesta, swego synowca, chce dziedzicem swych dóbr uczynić Dreynara siostrzeńca swego”. Przywołany tu Ernest to odpowiednik Molierowskiego Erasta, który z kandydata na Orontowego zięcia przemienił się w jego bratanka. Nie mogąc pogodzić się z utratą należnej mu schedy, „Ernest z swemi przyjaciółmi różnemi sztukami Dreynara podaje w nie-nawiść Orontowi i, pokłóciwszy ich z sobą, sam się przymiła stryjowi i zostaje jego dziedzicem”. W tym miejscu warto zaznaczyć, że wybrany przez Bohomolca tytuł adaptacji można by odnieść do trzech postaci. Oront jest dziedzicem chytrym w znaczeniu posesora niechcącego przekazać spadku bratankowi, Dreynar z powodu chęci przejęcia wujowej fortuny, a Ernest jako podstępny spadkobierca.

Podkreślić jednak wypada, że w działaniach Dreynara trudno odnaleźć niemoralną motywację. Do Warszawy przybywa wezwany przez nieznanego sobie wuja i w przeciwieństwie do Ernesta nie podejmuje jakichkolwiek działań, które miałyby służyć swemu wzbogaceniu bądź wykluczeniu z dziedzictwa kuzyna. Przebieg akcji jest bowiem wynikiem kapryśności Oronta, bezwzględności Ernesta, a Dreynar do jej rozwoju przyczynia się jedynie poprzez swoją naiwność. Podobnie jak w oryginale jest doskonałym kandydatem na ofiarę prześladowań, ponieważ to obcy, przybysz, człowiek, wobec którego nie ma się żadnych względów, zobowiązań czy skrupułów.

Bohomolec, świadom jak istotną rolę ów motyw odgrywa w mechanizmie adaptowanej komedii, a jednocześnie szukając polskiego odpowiednika dla mieszkańca Limoges, postanowił z Dreynara uczynić Wrocławianina. Jak zaświadcza o swym kuzynie Ernest: „Jego matka a siostra mego stryja poszła za oficjera Szlązaka i w Szląsku osiadłszy, nigdy potem w Polszcze ani sama, ani syn jej Dreynar nie powstał”.

Jak w polskiej adaptacji prezentują się inne postaci? O ile bez żadnych istotnych zmian można było z oryginału przejąć szelmowatego Neapolitańczyka Sbriganiego, o tyle intrygantkę Nerynę trzeba było zastąpić Ernestowym przyjacielem o imieniu Anzelm. W polskiej wersji nie pojawia się Lucetta (brak tu bowiem sceny z rzekomymi żonami Pourceaugnaca) ani zaangażowane do skompromitowania przybysza dzieci, ani straszący go karą śmierci adwokaci. Zamiast dwóch lekarzy występuje jeden felczer (Godfrid). Zamiast aptekarza – pomocnik felczera (Leopold). Nie ma w *Dziedzicu chytrym* Najemników z formacji szwajcarskiej, zachowany natomiast został Wachmistrz (un Exempt) oraz Żołnierze (Archers). Jako że Bohomolec przekształcił komediobalet w komedię, w polskim utworze brak muzyczno-baletowych intermedii. Co za tym idzie, na scenie nie pojawiają się postaci w owych wstawkach występujące (wokaliści, instrumentalni, tancerze).

Tak więc w adaptacji liczba postaci uległa redukcji, a akcja – uproszczeniu. W wyniku najistotniejszej zmiany, czyli zastąpienia motywu starań o pannę sta-

raniami o spadek, uwypuklona została relacja pomiędzy Orontem a Erastem. Poprzez to Dreynar wyraźniej jawi się jako ofiara gry toczonej pomiędzy nimi. O ile do Pourceaugnaca, pragnącego poślubić zakochaną w kim innym pannę mogliśmy odczuwać uzasadnioną niechęć, o tyle naiwnemu i poczciwemu Dreynarowi można jedynie współczuć.

Niezwykle istotnym rysem prowincjusza w polskiej adaptacji jest jego znacznie przerysowany w stosunku do oryginału gwarowy sposób mówienia. Bohomolec, kierując się tym, że Śląsk w dużej mierze zamieszkały był przez Niemców, tworzy w komedii dialekt stanowiący pograniczną mieszaninę polskiego i niemieckiego. Dreynar niekiedy używa niemieckich wyrazów, przede wszystkim jednak kaleczy polską wymowę w sposób typowy dla germanofonów („Ja, ja, zapefna tak”). Efekty tej stylizacji są rzeczywiście udane¹², choć w oryginale zabawy z gwarami zdają się bardziej urozmaicone. U Molière’a naśladowany jest flamandzki, a także gwary gaskońska i pikardyjska.

Bohomolec w znacznym, stopniu zachował, za oryginałem, sposób okpienia pechowego przybysza. Najpierw Sbrigani, broniąc Dreynara przed gapiami, pozyskuje jego zaufanie. Następnie Ernest udaje, że miał okazję przed laty poznać go we Wrocławiu: „Nie ma żadnego Dreynara na Szląsku, zacząwszy od tyłkiego aż do tyłego, z którym bym nie miał znajomości, kiedy bym był we Wrocławiu”. Realia Limoges zastąpione zostają wrocławskimi. Traktier Petit-Jean to w wersji polskiej „pan Wolsbeder”, a ulubione miejsce spacerów, to nie „cimetière des Arènes”, ale „Piaski”, czyli Wyspa Piaskowa na Odrze.

Oddany w ręce medyków Dreynar ma zostać uznany za chorego, a w konsekwencji ubezwłasnowolniony i poddany nieprzyjemnym praktykom. Ernest zaleca: „Trzeba by mu naprzód przez kilka lewatyw żołądek wolniejszy uczynić, a po tym krew puścić. Na koniec głowę ogolić”. (To ostatnie praktykowano wobec umyślowo chorych).

Jakkolwiek Dreynar ucieka z rąk dręczycieli, to zostaje skutecznie skompromitowany przed Orontem. Podobnie jak w oryginale musi uciekać, ponieważ zarzucono mu (rzecz jasna, fałszywie) kradzież. Warszawę przyjdzie mu opuścić w przebraniu Żyda. To *déguisement* ma zresztą iście teatralny charakter. Demaskujący Dreynara Wachmistrz spostrzeże, że jego „żydowska” broda jest umocowana na sznurkach. Zwróćmy uwagę na rzecz jeszcze ważniejszą. Utrata tożsamości wiąże się w *Dziedzicu chytrym* z dosłownym przyjęciem maski obcego.

Warszawa okazuje się w Bohomolcowej komedii miastem z pewnością dalekim od wszelkich utopii. Jest to miejsce niebezpieczne, w którym można utracić pieniądze, godność, a nawet tożsamość. Ten motyw będzie później powracał w komedii stanisławowskiej. Na przykład w *Szkole kobiet* Wojciecha Bogusławskiego (adaptacja Molierowskiej *L'école des femmes*) padną słowa: „Otóż to tak

¹² D. Ratajczakowa, *Komedia oświeconych. 1752–1795*, Warszawa 1993, s. 46.



M^R. DE POURCEAUGNAC.

Monsieur de Pourceaugnac, a. I, sc. 8, ryt. Jean Michel Moreau le Jeune wg Jeana Charles'a Baquoy, Molière, *Oeuvres*, t. 5, Paris 1773

w Warszawie się dzieje: Gach się wykręci, a mąż najczęściej w skórę dostanie”.¹³ Kwestia wszakże, którą Bohomolec każe Sbriganiemu skomentować przypadki Dreynara, brzmi wyjątkowo cynicznie: „Miał po co z tak daleka przyjeżdżać. Wziął parę lewatyw i powrócił do Szląska!”.

3.

Dziedzic chytry to bez wątpienia utwór, który wśród komedii konwiktowych Bohomolca wyróżnia się słabym wymiarem dydaktycznym. Adaptatora najwyraźniej ujęła przejęta z Molière'a fabuła i przewrotna zabawa związana z gnębieniem przybysza. W ten sposób powstało dzieło oryginalne. Być może ta nietypowość przyczyniła się do wykluczenia z kanonu Bohomolcowych komedii, który,

¹³ W. Bogusławski, *Szkola kobiet*, [w:] idem, *Dzieła dramatyczne*, Warszawa 1823, t. VII, s. 197.

wydając dwutomową antologię w serii „Teatr polskiego Oświecenia”, utworzył Jan Kott.¹⁴ Wszak edytor tych tomów, a jednocześnie redaktor całej serii, bardziej zainteresowany był przypomnieniem utworów, które dobitnie egzemplifikowałyby teatr polskiego „wieku światła”. Tymczasem podejrzana wymowa moralna *Dziedzica chytrego* czyni zeń dzieło nader nietypowe. Oryginalność ta, jak również niewątpliwy, dziś jeszcze częstokroć bawiący dowcip, wydają się wystarczającymi przyczynami, aby komedię przypomnieć.

Jak już wspomniano, prezentowany utwór powinien wzbudzić nasze zainteresowanie ze względu na ukazaną w nim ludzką bezwzględność, skłonność do dręczenia innych, uczynienie ofiarą obcego. Przecież podleganie rozmaitym zasadzkom losu, bogów czy nieprzychylnych nam ludzi to jeden z ważniejszych motywów literackich, powracający w każdej epoce. Motyw ten ma wyraziście metateatralny ładunek, skoro, odwołując się do wizji człowieka jako igraszki innych osób czy też nieokreślonych sił, ukazuje ludzi podobnych do marionetek pociąganych za sznurki. Może wobec odbiorców spełniać swoistą rolę terapeutyczną, skoro skłania do pogodzenia się z tym, co pozostaje poza ich kontrolą, a zarazem oswaja z nieszczęściem.

Warto jeszcze zwrócić uwagę, że bardzo rozmaite są mechanizmy związane z dręceniem postaci. W biblijnej Księdze Hioba mamy do czynienia z doświadczeniem, któremu poddany jest sprawiedliwy. W Wolterowskim *Kandydzie* postaci stają się igraszkami ciężkiego do zracjonalizowania losu. W Molierowskich komediach częstym zjawiskiem jest iście metateatralny popis szelmstw nicponia czerpiącego radość, nie tyle z przysparzania innym cierpień (to poniekąd uboczne skutki działań), ile ze swej niezrównanej przemyślności. Czyż bowiem nie to wyraża sprytny służący w *Wartogłowie*, kiedy wygłasza odnoszącą się do niego samego maksymę: „Vivat Mascarillus, fourbum Imperator”¹⁵, kapitalnie przełożoną przez Tadeusza Boya-Żeleńskiego: „Niech żyje Maskaryl, szelma nad szelmami!”¹⁶ Integralny sposób przedstawienia spadających niezasłużenie na człowieka cierpień znajdziemy z kolei w *Justynie* Donatiena de Sade. Jakkolwiek Boski Markiz pozostawił nam trzy wersje tego dzieła¹⁷, w każdej z kolejnych rozbudowując wątki pornograficzne, to we wszystkich wariantach dostrzeżemy dobitnie

¹⁴ F. Bohomolec, *Komedie*, oprac i wstępy J. Kott, Warszawa 1959, t. I: *Komedie konwiktowe*; t. II: *Komedie na teatrum*.

¹⁵ Molière, *L'Étourdi ou les Contretemps*, [w:] idem, *Oeuvres complètes*, op. cit., t. I, s. 236.

¹⁶ Idem, *Wartogłów czyli Zawsze nie w porę*, [w:] idem, *Dzieła*, przekł., oprac. i wstępy T. Żeleński (Boy), Warszawa 1988, t. I, s. 152.

¹⁷ *Les infortunes de la Vertu* (1787) ukazała się po polsku jako: *Niedole cnoty*, przekł. J. Trznan-del, Warszawa 1972; *Justine ou les Malheurs de la vertu* (pierwodruk: 1791) wydano po polsku jako: *Justyna czyli nieszczęścia cnoty*, przekł. M. Bratuń, Łódź 1987. *La Nouvelle Justine ou les Malheurs de la vertu* (pierwodruk: 1799) nie doczekała się jeszcze polskiego wydania. Powieść tę wszakże poddał szczegółowej analizie, częściowo ją tłumacząc, Krzysztof Matuszewski w książce: *Sade. Msza okrucieństwa*, Gdańsk 2008. Edycja francuska wszystkich trzech wersji: D. A. F. de Sade, *Oeuvres*, Paris 1995, t. II.

skonstruowany obraz bezwzględności społeczeństwa wobec słabszych, obojętności losu wobec ludzkich czynów, czy wreszcie ślepego działania sił natury. Zaczyna, ale i uboga Justyna staje się ofiarą tak ludzi, pragnących w różnoraki sposób ją wykorzystać, jak i niezważającego na jej zalety przeznaczenia prowadzącego ją ku kolejnym niezasażonym nieszczęściom, a na koniec przejmującej śmierci. Kiedy wreszcie uwierzmy, że jej losy ulegną poprawie, dziewczyna przypadkiem ginie od pioruna, a więc śmiercią, którą dawni autorzy chętnie obdarzali występnych grzeszników. Nie bez powodu w dziele tym Jacek Dehnel dopatruje się czegoś w rodzaju pierwowzoru dla popularnych dziś książek należących do nurtu „misery books”, epatujących czytelnika cierpieniem postaci, a trafnie określonych jako „pornografia nieszczęścia”.¹⁸

Prawdziwym wynalazkiem Sade’a wydaje się jednak nie tyle ukazanie czyhających na człowieka niedoli, ile wprowadzenie do literatury person, którym prawdziwą satysfakcję może dać jedynie prześladowanie innych. W dziejach Justyny odnajdziemy całe grono takich postaci. Wymieńmy chociażby zepsutego arystokratę Bressaca, perwersyjnych zakonników, których klasztor przypomina raczej lupanar (podporządkowany wszakże iście zakonnej dyscyplinie), czy wreszcie przeprowadzających wiwisekcję medyków, tyleż kierujących się nauką ciekawością, ile przyjemnością władzy nad drugą istotą.

Przywoławszy powyższy kontekst, warto postawić sobie pytanie, czy medyków w Molierowsko-Bohomolcowej komedii dzieli tak wiele od ich kolegów zaprezentowanych w *Justynie*? Albo czy przekonanie Ernesta, że w imię swoich roszczeń może postępować niemoralnie, nie stawia go w jednym szeregu ze stworzoną przez Markiza cyniczną panią Dubois, która głosi, że „nieczułość bogaczy usprawiedliwia szelmostwo ubogich”?¹⁹

Molière, Bohomolec, de Sade nie stronili, jak widzimy, od demaskatorskich możliwości literatury. Nie bez racji Michel Foucault nazwał *Justynę* „strasliwym pamfletem na «filozofów»”.²⁰ Jest to bowiem dzieło, które ukazuje ludzką naturę w sposób bardzo bezwzględny. Szczerosc w portretowaniu bliźnich dostrzec również musimy w *Dziedzicu chytrym*. Jeżeli już pragniemy doszukać się w tym dziele jakiegoś dydaktyzmu, to jest nim chyba owa antyutopijność...

¹⁸ J. Dehnel, *Wieść hiobowa*, [w:] idem, *Młodszy księgowy. O książkach, czytaniu i pisaniu*, Warszawa 2013, s. 31–35.

¹⁹ D. A. F. de Sade, *Niedole cnoty*, op. cit., s. 40.

²⁰ M. Foucault, *Historia szaleństwa w dobie klasycyzmu*, przekł. H. Kęszycka, Warszawa 1987, s. 101.

Franciszek Bohomolec

DZIEDZIC CHYTRY

ARGUMENT

Oront starzec bogaty, rozgniewawszy się na Ernesta swego synowca, chce dziedzicem swych dóbr uczynić Dreynara, siostrzeńca swego. Ernest z swemi przyjaciółmi różnemi sztukami Dreynara podaje w nienawiść Orontowi, i pokłóciwszy ich z sobą, sam się przymila stryjowi i zostaje jego dziedzicem.

OSOBY:

ORONT, starzec bogaty
ERNEST, synowiec Oronta
ANZELM, przyjaciel Ernesta
SBRIGANI, przyjaciel Ernesta
DREYNAR, siostrzeniec Oronta
GODFRID, felczer
LEOPOLD, towarzysz felczera
WACHMISTRZ i ŻOŁNIERZE

AKT I

Scena 1

Ernest, Anzelm

ANZELM: Cóż tedy będzie?

ERNEST: Ja sam nie wiem.

ANZELM: I żadnej cale¹ waszmość pan już nie masz nadziei przywrócenia² do łaski stryjowskiej?

¹ Wcale.

² W wydaniu lwowskim: powrócenia.

ERNEST: Żadnej. Różnych zażywałem sposobów, żebym mógł jego serce ku sobie nakłonić, ale złość ludzka, na niewinność moją zawzięta, więcej nierównie może u niego niż wszystkie moje zabiegi. Czeką na przybycie swego siostrzeńca i już wszelką do tego uczynił gotowość, aby mu wszystkie swe dobra, mnie mi-nąwszy, zapisał.

ANZELM: Wolno jegomości, co chcąc, czynić. Ja upewniam waszmość pana, że jeśli tak postąpimy, jakeśmy się namówili, wszystkie mu szyki pomieszamy. Tylko czy waszmość pan wiesz doskonale, że pan stryj nigdy nie widział, ani zna tego pana Dreynara siostrzeńca swego?

ERNEST: Ale co to, to wiem zapewne.³ Jego matka, a siostra mego stryja poszła za oficjera Szlązaka i w Szląsku osiadłszy, nigdy po tym w Polszcze ani sama, ani syn jej Dreynar nie powstał. Stryj też mój nigdy w swym życiu z Polski nie wyjeżdżał. Jakim tedy sposobem mógł kiedy widzieć tego Dreynara?

ANZELM: Jeśli tak, bądź waszmość pan pewien, że Dreynar z niczym stąd pojedzie. Zażyjem my tu dobrze tego jegomości Sbrigani, któregoś waszmość pan wysłał na szpiegi przeciw Dreynarowi, potrafi dobrze rzecz swoją udać. Oj, to subtelny Neapolitańczyk! Nie takich on rzeczy dokazywał. Da on plagi temu Szlązakowi. Ale... Jak my z Dreynarem mówić będziemy? Czy umie on co po polsku?

ERNEST: Musi umieć cokolwiek. Wszak miał matkę Polaczkę. Otóż i Sbrigani powraca. Dowiemy się nowinek ciekawych.

Scena 2

Ernest, Anzelm, Sbrigani

SBRIGANI: Pan Dreynar, nie bawiąc, tu zawita. Popasywał stąd o dwie mile, gdzie mu się więcej niż godzinę przypatrywałem. O rażności jego nic nie chcę mówić. Obaczycie sami, waszmość panowie, co to za śmieszny człowiek! Rozumu, jakem zamiarkował, nie ma i uncji całej w swej głowie. Do wyrabiania figlów, któreśmy na niego ułożyli, sposobniejszego człeka trudno i znaleźć. Wszystko w niego wmówić możemy.

ERNEST: Dałby to Bóg, gdyby tak było!

SBRIGANI: Jakem poczciwy, tak mogę w tym upewnić waszmość pana. Za-czną ja pierwszy z nim komedią.

ANZELM: Mospanie Erneście, nie mogłeś waszmość pan lepszego człeka wybrać do wykonania swych zamysłów jako kochanego Sbriganiego. Nie podchlebując, to mówię, że ten człek, chcąc usłużyć swoim przyjaciom, nie trzydzieści już razy wzgardził pręgierzem, podając swój grzbiet w niebezpieczeństwo smagania! Czy takich on rzeczy dokazywał? (*Tymczasem Sbrigani coraz się kłania Anzelmowi, dziękując mu za te pochwały.*) Upewniam, że go można pierwszym

³ Z pewnością.

wieku naszego w spraw utrzymaniu nazwać bohaterem. Jego to zaszczyt, iż już z kilkanaście razy był tryumfalnie prowadzony do kozy! Jego to zaszczyt, iż za to, że jakieś wielkie przedsięwzięcia dzieła, osmagawszy, zazdrość ludzka z własnej ojczyzny wypędziła.

SBRIGANI: Ze wstydem mi nie miałym przychodzi słuchać te pochwały, któremi niegodną moją osobę waszmość pan uczcić raczyłeś! Mógłbym sprawiedliwiej wszystkie te zalety przypisać osobie waszmość pana kochanego dobrodzieja, wiedząc o dziwnych jego i więcej niż bohaterских dziełach. Nie miałej godzien pochwały ów postępek dzielny waszmość pana, którym, u pewnego młodziana wyłudziwszy znaczne pieniądze, do rozpacz go prawie przyprowadziłeś! Twoje to, Excellentissime Domine⁴, dzieło, nieśmiertelnej godne pamięci, żeś w pewnej sprawie pofalshował papiery i całą przez to zrujnowałeś familią. Twoje to dzieło na podziwienie potomnym wiekom uczynione, że przez fałszywe świadectwo dowcipnym krzywoprzysięstwem twoim potwierdzone od ćwiartowania⁵ siebie uwolniwszy, dwóch ludzi niewinnych na szubienicę wyprawiłeś! Twoje to...

ANZELM: To są fraszeczki cale nikczemne i niegodne tej gęby⁶, którą waszmość pan na pochwały moje rozpuściłeś!

SBRIGANI: Mógłbym większe daleko dzieła waszmość pana przypomnieć, ale wiedząc z jednej strony o nieudolności mojej w mówieniu, z drugiej nie chcąc umartwić modestyji⁷ waszmość pana wrodzonej, wzdrygającej się skromnie na takowe pochwały, zostawuję tych dzieł wyliczanie ustom wymowniejszym.

ERNEST: Ale pięknie obydwu siebie chwalicie. Boję się, żebyście się w pychę nie podnieśli. Ale myślmę raczej o przyjęciu pana Dreynara.

SBRIGANI: Zgoda, przyjacielu! Ty się zaprawdę nie gniewasz i ja się jej nie wstydzę. Ale patrzcie! Otóż i ów Szlązak, zacny braciszek⁸ waszmość pana.

ERNEST: Czy on to?

SBRIGANI: On. Ale się skryjcie waszmość panowie. Zacznę ja z nim pierwszą scenę komedyi ułożonej.

Scena 3

Sbrigani, Dreynar

DREYNAR (*ogłędający się w tył przychodzi i mówiący do ludzi, którzy niby za nim idą, śmiejąc się*): Szego, szego? Szo tam, u kata? Skąd tego głupa śmiecha? Jaka tu luda bezrozumna? Ja sobie pięknie iść, a oni śmiać ze mnie! Ej, mospan śmiecha! Dać mi pokój! Szy nie ma⁹ inna robota prosz śmiecha? Kiedy jesze choć

⁴ Najjaśniejszy panie (łac.).

⁵ Ćwiartowania.

⁶ Określenie gęba nie miało wówczas pejoratywnego charakteru.

⁷ Skromności (łac. *modestia*).

⁸ Z komedii wynika, że Dreynar jest bratem ciotecznym Ernesta, synem siostry jego ojca.

⁹ W wydaniu lwowskim: ni ma.

jedna będzie śmiała, to ja będę dal taka na brucha kulaka, aż będzie noga zadarła, tam do stu kata!

SBRIGANI (*niby do ludzi z Dreynara śmiejących się mówi*): Cóż to jest mości panowie? Co to znaczy? Pięknaż to śmiać się z godnych cudzoziemców, którzy do nas przybywają?

DREYNAR: Oto jedna znalazła rozumna człofieka!

SBRIGANI: Co to za głupstwo śmiać się bez przyczyny?

DREYNAR: Prawda mofi.

SBRIGANI: Co waszmość panowie w osobie jegomościnej śmiesznego widzicie?

DREYNAR: Zapefna.

SBRIGANI: Albo to nie jest człek taki, jako i inni godni ludzie?

DREYNAR: Szy to ja garbata? Szy lysa?

SBRIGANI: Trzeba się znać na ludziach!

DREYNAR: Nie inaszy!

SBRIGANI: Jegomościna osoba bardziej godna uszanowania niż śmiechu.

DREYNAR: Prawda: waraftich.¹⁰

SBRIGANI: Jegomość jest człek zacny, godny!

DREYNAR: Jest syn pana brygadier na Wrocław!

SBRIGANI: Jest człek uczony, rozumny.

DREYNAR: Prafda. Ja dwanaście lat chodził na szkoła.

SBRIGANI: To jest szczęście dla miasta naszego, że jegomość tu przyjechał.

DREYNAR: Tak, sapefna.

SBRIGANI: Nie dla waszych śmieszków jegomość się rodził.

DREYNAR: Ja, ja prawda mofi.

SBRIGANI: I ktokolwiek się odważy śmiać z jegomości, będzie miał ze mną sprawę.

DREYNAR: Ziękuje pokorna na waspan dobroziej.

SBRIGANI: Bardzo się wstydzę, że ten lud głupi, źle przyjmując godną waszmość pana osobę, czyni obelgę temu miastu. Przepraszam waszmość pana ja imieniem całej Polski, za tę kilku ludzi nieroztropność.

DREYNAR: Ziękuje, moszi dobrodziej. Ja dla waszmość pana pardonofać¹¹ na cała Polska.

SBRIGANI: Dnia dzisiejszego rano miałem honor widzieć waszmość pana popasującego w karczmie stąd o dwie mile, gdzie waszmość pan jadł śniadanie. Ta wdzięczność, rażność i układność¹², z którą waszmość pan kawałek chleba jadłeś, tak mi się podobała, że wraz uczułem w mym sercu jakąś osobliwszą przychylność do osoby waszmość pana. A ponieważ widzę, że waszmość pan pierwszy raz

¹⁰ Wahrhaftig (niem.) – doprawdy.

¹¹ Wybaczyć, rozgrzeszyć (fr. pardonner).

¹² Ten wdzięk, werwa i szyk.

jesteś w tym mieście, bardzo się cieszę, że mi się zdarzyło tu spotkać z waszmość panem, gdzie mogę usługi jemu ofiarować i od płochości ludu tutejszego waszmość pana zasłaniać.

DREYNAR: Fielka to laska waspan mego dobrozieja.

SBRIGANI: Od tego czasu, jakem pierwszy raz ujrzał osobę waszmość pana, zaraz się w mym sercu przyjaźń ku niemu urodziła.

DREYNAR: Fielka obligation¹³ za to, waspan dobrodziej.

SBRIGANI: Ta twarz waszmość pana wielce mi się podobała.

DREYNAR: Niebronna na usluga waszmość pan dobrodzieja.

SBRIGANI: Ma w sobie coś wspaniałego.

DREYNAR: Nanisza śługa moszi dobroziej.

SBRIGANI: Ma coś miłego i serca ludzkie do siebie wabiącego.

DREYNAR: Mosze to być.

SBRIGANI: Ma coś słodkiego w sobie.

DREYNAR: Ja, ja, prawda.

SBRIGANI: Ma wdzięki niepospolite.

DREYNAR: Ja, ja.

SBRIGANI: Ma coś poważnego.

DREYNAR: Ja, ja.

SBRIGANI: Ma coś szczerego.

DREYNAR: Ja, ja.

SBRIGANI: Nieobłudnego.

DREYNAR: Ja, ja.

SBRIGANI: I serdecznego.

DREYNAR: Ja, ja, prawda.

SBRIGANI: Upewniam waszmość pana, że me serce bardzo jest przywiązane do waszmość pana.

DREYNAR: Fielka¹⁴ obligation.

SBRIGANI: Nieobłudnie to, ale z wrodzonej mi szczerości wyznaję. Jeśli będę miał ten honor, że mię waszmość pan poznasz doskonalej, wyznasz, iż człeka nade mnie szczerzego nie widziałeś.

DREYNAR: Ja, ja, prawda.

SBRIGANI: Jestem wielki nieprzyjaciel wszelkiej obłudy.

DREYNAR: Ja, ja. Sapefna tak.

SBRIGANI: I takiej jestem natury, że choć bym chciał czasem na próbę obłudnie postąpić lub powiedzieć, to się zaraz mieszam, wstydzę i wrodzonej mi rzetelności pokryć nie mogę.

DREYNAR: Mosze to być, mosze.

SBRIGANI: Ja nie jestem Polak, nie. Jestem Neapolitańczyk i wrodzoną temu

¹³ Zobowiązanie (niem. Obligation).

¹⁴ W wydaniu lwowskim: fielga.

krajowi szczerłość żadną obłudą dotychczas mam nieskażoną. Waszmość pan nie chciej na me suknie uważać...

DREYNAR: I mego suknia ja kazał zrobić modna. Jak spodoba?

SBRIGANI: Bardzo są piękne. Wątpię, żeby tu kto miał modniejsze.

DREYNAR: I mego pan krafiec mówić, że ta suknia jest à la mode. I pofiadał, że ten sukien będzie zrobić fielka dziwa na Polska.

SBRIGANI: Zapewne. Bez mała i ja takich sukien sobie nie każe zrobić.

DREYNAR: Zyszę waszmość panu. Ja będzie ją pokazał na krafca tamtego.

SBRIGANI: Barzo dobrze. Ale... Czy już waszmość pan tu sobie najął gospo-
dę?

DREYNAR: Nie jesze. Teraz go będzie szukał.

SBRIGANI: Ja w tym dopomogę waszmość panu jako świadomszy w tym mieście.

DREYNAR: Jeśli będzie laska waspana. Ja będzie za to barzo poziękofał waszmość panu.

Scena 4

Sbrigani, Drey nar, Ernest

ERNEST: A to co? Co ja widzę! O, jakie to dla mnie szczęście, że mam honor widzieć jegomość pana Drey nara! Kto by się spodziewał¹⁵, żeby miał na tym miejscu oglądać tak miłą mi osobę! Cóż? Pewnie mię waszmość pan nie poznał? I nie przypominasz mię jeszcze waszmość pan sobie?

DREYNAR: Moszi dobrodzieju, ja sługa waspana.

ERNEST: Czyż to podobna, żebym przez te pięć czyli sześć lat miał wypaść z pamięci waszmość pana? I cóż? I jeszcze waszmość pan nie poznajesz najwier-
niejszego całej familii Drey narów przyjaciela?

DREYNAR: Poznała, poznała, moszi dobrodzieju. (*Do Sbriganiego mówi*). Waraftich, ja nie wie, kto on jest, był.

ERNEST: Nie ma żadnego Drey nara na Szląsku, zacząwszy od tyłkiego, aż do tyłego, z którym bym nie miał znajomości. Kiedym był we Wrocławiu, zawsze bywałem w kompanii z ichmość panami Drey narami, gdzie prawie co dzień miałem honor widzenia się z waszmość panem.

DREYNAR: Owszem, to dla mego person¹⁶ był honor.

ERNEST: Jakże? I jeszcze waszmość pan nie przypominasz sobie mej twarzy?

DREYNAR: Ja, ja. Prypominal. (*Do Sbriganiego mówi*.) Dał pan, ja go nie zna.

ERNEST: Przepomnij waszmość pan sobie, wieleśmy razy z sobą pijali.

DREYNAR: Ja, ja, prafda. (*Do Sbriganiego mówi*.) Ja go nigdy nie wizał.

ERNEST: Pamiętasz, waszmość pan, kiedyśmy z sobą w karty grywali?

¹⁵ W wydaniu lwowskim: który się spodziewał.

¹⁶ Dla mojej osoby (niem. Person).

DREYNAR: Ja, moszi dobroziej, nigdy nie umie grać na karta.

ERNEST: Ale ja wiem, że waszmość pan nie umiesz. Ja to mówię, że kiedy ja w karty z drugimi grywałem, to waszmość pan w ten czas bywałeś w naszej kompanii.

DREYNAR: To jest prafda. (*Do Sbriganiego mówi.*) Dal pan, ja nie pamięta.

ERNEST: Pamiętasz waszmość pan tego traktiera... tego... co to często waszmość pan u niego bywał... Och! Bodaj by go... Jak się on zowie...

DREYNAR: Traktier? Aha.. To jest byl pan Wolsbeder.¹⁷

ERNEST: Tak jest, tak. Pan Wolsbeder. Ten to sam. Czy raz my u niego z waszmość panem cieszyliśmy się? A to miejsce, na które waszmość pan zwykłeś chodzić... Zaraz przypomnę...¹⁸

DREYNAR: Gdzie ja byl chodzil na szpacier?¹⁹

ERNEST: Tak jest.

DREYNAR: To się zofie na piaski.²⁰

ERNEST: Tak jest. Na piaski. O, jak tam wesołe miałem godziny, ciesząc się miłą z waszmość panem rozmową. Czy nie zapomniał waszmość pan?

DREYNAR: Ni, uchowaj Boże! Ni sapomiał. (*Do Sbriganiego mówi.*) Bodaj-by ja zdechla, kiedy ja to pamiętać!

SBRIGANI: I nie dziw! Juźci to lat pięć czy sześć temu.

ERNEST: Niechże cię uścisnę, miły przyjacielu! Odnówmy dawne miłej przyjaźni naszej związki.

SBRIGANI: Jakie to szczęście waszmość pana, żeś tu znalazł takiego przyjaciela!

DREYNAR: Ja, ja, zapefna tak.

ERNEST: Mój dobrodzieju, dajże mi jaką wiadomość o swojej familii.

DREYNAR: Zdrofa na śluga waszmość pana.

ERNEST: A jak się ma waszmość pana, ten..., co to zacny²¹ człowiek...

DREYNAR: Mój pan brat stryjeczna?

ERNEST: Ten, ten.

DREYNAR: Barso strofa i greczna. On teraz dostal żona, ale zlego baba!

ERNEST: Pożal się, Boże. A ten jegomość... Och... Co to wesoły?

DREYNAR: Ten staruszki?

ERNEST: Tak jest.

DREYNAR: I ten choć stara, ale chwał Bóg zdrofa. Ale to śmieszna staruszki.

ERNEST: Barzo się cieszę. Poczciwy-ż to staruszek. On nie zasmuci człowieka. A dziad waszmość pana jak się ma?

¹⁷ W wydaniu lwowskim: brak tej kwestii.

¹⁸ W wydaniu lwowskim kwestia błędnie przypisana Dreynarowi.

¹⁹ Spacer (od niem. spazieren – spacerować).

²⁰ Wyspa Piaskowa.

²¹ W wydaniu lwowskim: znaczny.

DREYNAR: Mego dziada? On pirfij umarla, niż ja rodić się, ale mego stryja jest piękna person.

ERNEST: Ja też o nim powiadam. Bo u nas teraz jest moda nazywać stryja dziadem. Jakże się tedy stryj ma waszmość pana?

DREYNAR: Co tego, to jest chora nieboraka.

ERNEST: Szkoda go, bardzo człek godny.

DREYNAR: Ale syn jego barzo greczna kawaler. Znal go waszmość pan?

ERNEST: Jakże nie? Ten to wysoki?

DREYNAR: Ni, ni, ni jest on wysoka.

ERNEST: Tak jest, nie barzo wysoki, ale rażny.

DREYNAR: To prafda.

ERNEST: Wszak on jest brat stryjeczny waszmość pana?

DREYNAR: Ja, ja, prafda mowić.

ERNEST: Syn stryja waszmość pana.

DREYNAR: Ten sam jest, ten. A prawdziwie waszmość pan zna cała mego familia.

SBRIGANI: Waszmość pan się może nie spodziewał znaleźć tu tak znajomego.

DREYNAR: Sapewna nie spoziewal. Musial waszmość pan dlugo być na mego kraja?

ERNEST: Całe lat dwie.

DREYNAR: To waszmość pan musial byl tedy, kiedy ja na wesela pana burmeystra²² zrobil wielka akcyjon?²³

ERNEST: Jakże nie? Ja najpierwszy tam byłem zaproszony.

DREYNAR: O! Tam byl piękna bankieta!

ERNEST: Cale pięknie. Darmo to mówić.

DREYNAR: Ja lepsza bankieta nie wizieć.

ERNEST: Prawda, że cale po pańsku.

DREYNAR: Jaka tam byl szynka, jaka kielbas! Jak tłusta barana!

ERNEST: Co to, to prawda.

DREYNAR: To waszmość pan musial być na moja tamta akcyjon z panem Butelschwa[rt]z.²⁴

ERNEST: Jakże nie?

DREYNAR: On poczela zwada. Ale natrafil na mnie, na dobry kafaler! On rozumial, że ja jego lękać, a ja fi! Będzie on mi pamiętał.

ERNEST: Oj, co będzie, to będzie!

DREYNAR: On mni dal kulaka na pyska, a ja go dobre za to jak psa zlajać!

ERNEST: Co dobrze, to dobrze.

DREYNAR: On raz tylko na mój gęba swego ręka położyć, a ja ni sto raz jemu powiecieć, że on głupa, głupa.

²² Burmistrza (z niem. Bürgermeister).

²³ Tu: zatarg (niem. Aktion).

²⁴ W drukach raczej omyłkowo: Butelschwatz.

ERNEST: I słusznie. Ale rozmówimy się i po tym. Teraz waszmość pan po drodze chciej sobie wygodę uczynić. Proszę do mego domu. Tam waszmość pan będziesz miał u mnie dobrą gospodę.

DREYNAR: Ale moszi dobrodzieju, ja się boić...

ERNEST: Waszmość pan żartujesz! Rozumiesz waszmość pan, że ja dopuszczę, żeby mój tak wielki przyjaciel miał gdzie indziej jak u mnie szukać gospody?

DREYNAR: Ale moszi dobrodzieju...

ERNEST: Ale żeby mi nie wiem, co przyszło czynić, to waszmość pan musisz stać u mnie, byłoby to przeciwko prawu przyjaźni, gdybyś mi waszmość pan tego honoru nie chciał uczynić.

SBRIGANI: Kiedy jegomość sam tego żąda, to waszmość pan możesz stanąć w jego domu.

ERNEST: Gdzie są rzeczy waszmość pana?

DREYNAR: Jest u mego woza, na mego pan furman.

ERNEST: Zaraz po tego furmana posyłam.

DREYNAR: Nie, mospan, nie. Ja mu zakasał nikogo nie słuchać, aż ja sam jemu bęzie pofiezieć. Bo ja lękać zdrada.

SBRIGANI: Bardzo roztropnie waszmość uczyniłeś.

DREYNAR: Na tego miasta treba być ostrożna. Ja śłyszał, że tu jest fielka figla.

ERNEST: Wszędzie tego dostanie. Ale spieszmy...

SBRIGANI: O, toż ja pójdę z jegomością panem Dreynarem i po tym razem z rzeczami przybędziemy do domu waszmość pana.

ERNEST: I owszem, i owszem. Ja tymczasem kilka pokoików każę dla jegomości nagotować!

SBRIGANI: My, nie bawiąc, powróciemy.

ERNEST: Czekam tedy waszmość pana, mości panie Dreynar, niecierpliwie.

DREYNAR: Saraz będzie, saraz, chwal Bóg, że mam tu dobra znajoma.

SBRIGANI: Znać mu z twarzy, że musi być człek poczciwy.

ERNEST: Zmiłujcie się, mości panowie, nie chcecie się bawić. U mnie zaraz będzie wszelka gotowość.

DREYNAR: Saraz, saraz za moment.

Scena 5

Ernest, Leopold

ERNEST: Podobno waszmość pan jesteś ten felczer, z którym z mego zlecenia mówiono o pewnym chorym?

LEOPOLD: Nie, mości dobrodzieju, nie. Nie chcę sobie jeszcze przed czasem tego honoru przywłaszczać, nie chcę. Ja jestem mości dobrodzieju, jeśli mam rzecz prawdę, ja jestem, mości dobrodzieju, jego towarzysz. Tak jest, mości dobrodzieju, jestem jego towarzysz, a niegodny sługa waszmość pana.

ERNEST: A pan felczer jest w domu?

LEOPOLD: Jest, mości dobrodzieju, jakem²⁵ sługa waszmość pana, jest. Zaraz on tu, mości dobrodzieju, przyjdzie, zaraz.

ERNEST: Mam tu jednego z krewnych, którego czasami szaleństwo napada, chciałbym, żeby go oczyszczeniem żołądka i krwi puszczeniem leczono.

LEOPOLD: Wiem, mości dobrodzieju, wiem. Przy mnie o tym panu felczero-wi mówiono. Ale ten chory nie ma szaleństwa, mości dobrodzieju, nie ma.

ERNEST: Jak to nie ma? Już mówię, że go czasami napada szaleństwo!

LEOPOLD: Nie, mości dobrodzieju, nie. Nie jest to szaleństwo, ale za pozwoleniem waszmość pana, jest to mania. Tak my nazywamy tę chorobę, mości dobrodzieju, tak.

ERNEST: Mniejsza o imię tej choroby. Tylko proszę, żeby go tak leczono, jakem mówił.

LEOPOLD: Wie, mości dobrodzieju, wie jegomość pan felczer o woli waszmość pana i tak z tym chorym ma postąpić, jako waszmość pan kazałeś. Tak, mości dobrodzieju. Jakem pocziwy, mości dobrodzieju, jakem pocziwy, nie mogłeś waszmość pan dać w lepsze ręce tego chorego! Nie mogłeś. Lubo on jest tylko felczer, mości dobrodzieju, felczer tylko, ale on każdą chorobę umie leczyć, mości dobrodzieju, umie jak pacierz. I ma szczęście, mości dobrodzieju, do chorych, ma. Kto się dostanie w jego ręce, ten się długo nie będzie męczył z chorobą, nie długo, mości dobrodzieju. Albo się uleczy prędko, albo umrze prędko. Tak, mości dobrodzieju.

ERNEST: To pewnie, że szczęśliwy, kto się w jego ręce dostanie?

LEOPOLD: Nie inaczej, mości dobrodzieju, nie inaczej. On nie jest taki, mości dobrodzieju, żeby dla zarobku chorobę przeciągał, nie mości dobrodzieju. On jest rzetelny. Kiedy widzi, że kogo nie może uleczyć, to on go nie bawi, mości dobrodzieju, wraz na tamten świat wysyła.

ERNEST: Podoba mi się ta rzetelność.

LEOPOLD: On czterech moich krewnych leczył, a żaden z nich nad trzy dni dłużej na tym świecie nie zabawił. A w inszego rękę²⁶, Bóg wie, jakby się długo z swą chorobą męczyli.

ERNEST: Kto by takiego lekarza nie życzył sobie.

LEOPOLD: Tak jest, mości dobrodzieju, tak. Mam ja brata swego maleńkiego, który chociaż zdrów z łaski bożej, przecież on częste mu daje lekarstwa i często krew puszcza, dlatego żeby nie zachorował. A to dla przyjaźni mojej, mości dobrodzieju, dla przyjaźni.

ERNEST: Dobrze mieć takich przyjaciół.

LEOPOLD: Prawda, mości dobrodzieju, prawda. Otóż i on sam idzie. Idzie, mości dobrodzieju.

²⁵ W wydaniu lwowskim: jakiem.

²⁶ W rękach kogoś innego.

Scena 6

Ernest, Godfrid, Leopold

ERNEST: Ja jestem, mości panie, który do waszmość pana posyłałem. Mam tu krewnego, który ma rozum nieco pomieszany. Trzeba by mu najprzód przez kilka lawatyw²⁷ żołądek wolniejszy uczynić, a po tym krew puścić. Na koniec głowę ogolić.

GODFRID: Barzo dobrze, mości dobrodzieju. Upewniam, że to wszystko doskonale potrafię. Ja lubo²⁸ felcerem tylko jestem, ale ja umiem wszelkie leczyć choroby i mam szczęście do chorych. Niech powie prawdę pan Leopold.

LEOPOLD: Prawda, mości dobrodzieju, prawda, jakem niegodny sługa waszmość pana.

ERNEST: Otóż i chory nasz idzie. Proszę tedy waszmość pana, pilnuj go mocno, a nie wypuszczaj z rąk swoich, aż mu dasz kilka lawatyw i to uczynisz, co mówiono. Będzie się on zbraniał od tego, ale na to nie trzeba uważać, bo on nie jest przy rozumie.

GODFRID: Wiem już o wszystkim, wiem. Nie bój się, waszmość pan. Biorę go na swoje ręce i sumnienie²⁹ delikatne.

Scena 7

Ernest, Drey nar, Godfrid, Leopold

ERNEST: Mości panie Drey nar, proszę waszmość pana, chciej waszmość pan z tym jegomością tu nieco zabawić. Bo muszę biec teraz w pilnym interesie na pewne miejsce. Usłużą tu waszmość panu ichmości.

DREYNAR: Bardzo dobra, moszi dobrodzieju.

GODFRID: Ja waszmość panu będę służył ze wszelką pilnością.

DREYNAR: Ja, ja. (*Do ludzi mówi:*) Musi to być tutejsza greczna gospodara.

GODFRID: Upewniam, że będę służył waszmość panu podług wszelkich mego urzędu reguł.

DREYNAR: Nie treba na mnie tak fiele ceremonia, moszi dobrodzieju.

ERNEST (*do Godfrida:*) Masz waszmość pan tymczasem parę czerwonych złotych³⁰. Resztę, co będzie należało, po tym dam waszmość panu.

DREYNAR: Moszi dobrodzieju. Na co tego ekspensa³¹ na moj person. Ja będzie sam soplacić, co treba.

ERNEST: Ale to fraszka. To nie na to, na co waszmość pan rozumiesz.

DREYNAR: Waspan se mną tak postępować jak z swoja sługa.

²⁷ Lewatyw (fr. lavement, hiszp. lavativa).

²⁸ Chociaż.

²⁹ Sumienie.

³⁰ Dukatów (złotych monet wagi ok. 3,5 grama).

³¹ Wydatek, koszt (łac. expensa).

ERNEST: O większych ja przysługach myślę waszmość panu. Mości panie Godfrid, miejże waszmość pan staranie o jegomości. Zaraz powrócę.

Scena 8

Dreynar, Godfrid, Leopold

GODFRID: Za wielkie tedy to szczęście sobie poczytam, że mam honor służenia waszmość panu.

DREYNAR: Sługa nanisza waspana.

GODFRID: Oto mój towarzysz. Ale dosyć biegły w swej sztuce. Będziemy obydwu waszmość panu służyli.

DREYNAR: Ale na co se mną taka ceremonia? Ja służa bez ceremonia.

GODFRID: Siądźmyż tedy. Tu waszmość pan chciej usieść. (*Siadają wszyscy trzej, a pośrodku ich Dreynar. Godfrid bierze za jedną, a Leopold za drugą rękę Dreynara, doświadczając krwi pulsu.*)

DREYNAR: Sługa nanisza. Bez tego ceremonia, a to na czego?

GODFRID: Czy dobrze waszmość pan jadasz?

DREYNAR: Ja. Barzo dobra i pić jesze lepsza.

GODFRID: Tym gorzej. Zły to znak. A sypiasz waszmość pan dobrze?

DREYNAR: Ja. Barzo dobra.

GODFRID: I to znak niedobry. Miewasz waszmość pan sny jakie?

DREYNAR: Czasem miefa.

GODFRID: A jakiego rodzaju są te sny?

DREYNAR: Jak to, jaki rozaj? Ja nie rosumie, jaka to być mofa?

GODFRID: Mości panie, trzeba mi na to odpowiedzieć, żebym pomiarkował, wiele mam dać lawatyw waszmość panu i wiele krwi puścić.

DREYNAR: Mnie dać lawatywa? Mnie krefa spuścić? A to na jaki diabel?

GODFRID: Niecierpliwość! Zły znak.

DREYNAR (*pluje*): Co to u kata sa sprawa se mną?

GODFRID: Drugi znak niedobry! Częste plucie.

DREYNAR: Cóż z tego bęzie? Ja tu nie chce siezieć. Ja ide precz, tam do szarta!

GODFRID: I to znak niebezpieczny, niespokojność i odmiana miejsca.

LEOPOLD: Patrz, waszmość pan, jakie u niego oczy?

GODFRID: Cale niebezpieczne.

DREYNAR: Ale szego do sto kata chcieć ode mnie?

GODFRID: Chcemy leczyć waszmość pana.

DREYNAR: Mnie leczyć? Albo ja chora? Ja zdrowa z laski Pan Bog.

GODFRID: I to znak niedobry, nie czuje swej choroby.

DREYNAR: Ale ja mofić, że ja zdrofa, zdrofiuteńka.

GODFRID: Mospanie. Ja się lepiej znam na tym, niż waszmość. Jestem felc[z]er doskonały. Mnie waszmość pan wierz lepiej niż sobie.

DREYNAR: Co, waszmość pan? Ja nie chce żaden felc[z]er. Mego ojca i mego matka nigdy nie znalazł felc[z]er, a był zdrofa aż do śmierci.

GODFRID: Kiedy tak, to nie dziw, że takiego syna maniaka porodzili. Ale my musim z waszmość panem postąpić bez ceremonii, jako prawdziwym maniakiem. Idź, waszmość pan, z nami do tego pokoju. Tam wszelka jest gotowość do leczenia.

DREYNAR: Dokąd? Po co? Ja nie chcę.

GODFRID: My na to nie uważamy. Idź, waszmość pan, bo zwiążemy bez ceremonii jak barana.

DREYNAR: Mnie gwałta szynić, gwałta! Gwałta!

AKT II

Scena 1

Sbrigani, Godfrid

GODFRID: Wszystkie nasze starania nic nie pomogły! Jużem go począł był przysposabiać do zdrowia przez ławatywy, które z wielką trudnością zbraniającemu się daliśmy, ale na koniec utrzymać nie mogliśmy. Wyrwał się, przez gwałt z rąk naszych, umknął, uciekł i uszedł sromotnie.

SBRIGANI: I to, to być nieprzyjacielem siebie samego, uciekać od tego, który go ratuje.

GODFRID: To samo jest znakiem nieomylnym, że u niego jest rozum pomieszany.

SBRIGANI: Jakże? I dufasz waszmość pan sobie, że go uleczyłbyś?

GODFRID: Żeby on miał i dziewiędziesiąt dziewięć chorób, to bym go uleczył.

SBRIGANI: Trzeba się o to starać. Inaczej waszmość pan stracisz pieniądze obiecane.

GODFRID: Co? Mam dla niego stracić? Choćby on i pękł, to go muszę uleczyć.

SBRIGANI: Ale jakże, kiedy on uciekł od waszmość pana?

GODFRID: Mniejsza, że uciekł, ja go jednak leczyć nie przestanę. On na sumieniu jest obowiązany powrócić do mnie, inaczej tak z nim postąpię jako z zbiegiem i dezertorem³² moich ławatyw.

SBRIGANI: Tak by potrzeba, ale go waszmość pan znajdziesz najpewniej u pana Oronta, jego wuja.

GODFRID: Albo to siostrzeniec pana Oronta?

SBRIGANI: Tak jest. Pan Oront mu teraz zapisuje całe swe dobra, minąwszy

³² Dezerter (hiszp. desertor).

pana Ernesta swego synowca³³, przeciwko wszelkiej słuszności.³⁴

GODFRID: Jak to? On temu maniakowi ma zapisywać swe dobra? To być nie może. Byłoby to przeciw prawu naszemu, żeby ten maniak, nie będąc sanus mente et corpore³⁵, miał obejmować dziedzictwo. Idę do pana Oronta.

SBRIGANI: Życzę waszmość panu, abyś go od tych zamysłów odprowadził.

GODFRID: Nie bój się waszmość pan. Musi tak być, choćby mi przyszło dać mu parę lawatyw darmo.

SBRIGANI (*do ludzi:*) A ja idę insze sidła na obydwu gotować, nie mniej albowiem wuj jako siostrzeniec da się do nich napędzić. (*Do Godfrida:*) Ale patrz, waszmość pan, oto i pan Oront. Kłaniam.

Scena 2 Godfrid, Oront

GODFRID: Wszak to waszmość pana podobno siostrzeniec pan Dreynar?

ORONT: Tak jest. Czekam prawie co godzina na jego przybycie ze Szląska.

GODFRID: Już przybył i uciekł z rąk moich, ale darmo. On jest na sumnieniu obowiązany do mnie powrócić. Ja go muszę leczyć.

ORONT: Jak to? Albo on chory?

GODFRID: I cale niepolityczną, uczciwszy uszy waszmość pana, ma chorobę.

ORONT: Jakąż przecie? Chciej mi waszmość pan z łaski swej powiedzieć.

GODFRID: Przepraszam waszmość pana, że nie powiem. Bo nie mogę. Jestem do sekretu moim urzędem obowiązany. Dość waszmość panu o tym wiedzieć, że on nie jest sposobny do utrzymania honoru familii waszmość pana. A tym samym nie możesz go waszmość pan brać za dziedzica.

ORONT: Ale jakąż przecie ma chorobę?

GODFRID: Nie powiem. To tylko powiem, że ma chorobę cale, cale niegrzeczną.

ORONT: Ale przede mną jako wujem możesz waszmość pan ten sekret wyjawić.

GODFRID: Nie mogę. To tylko powiadam, że on ma rozum pomieszany, że mu się mózg we łbie popsował, że on nie jest przy rozumie. Więcej waszmość panu nic nie powiem, bo mi sekret nie dopuszcza.

ORONT: Pewnie na manią choruje?

GODFRID: Zgadłeś waszmość pan. Ale ja nie mówię, żebym sekretu nie zgwałcił. Bądź jednak waszmość pan pewien, że czy on ozdrowieje, czy nie ozdrowieje, ja go muszę leczyć. Będę wszelkimi sposobami wypędzał mu tę manią, choćby mi ją przyszło wspólnie i z duszą wypędzić. Tylko nie wiem, gdzie go mam szukać. Uciekł ode mnie.

³³ Bratanek.

³⁴ Syn brata miał większe prawa do spadku.

³⁵ Zdrowy na umyśle i ciele (łac.).

ORONT: Musiemy go znaleźć.

GODFRID: A jeżeli go nie znajdziemy, to ja waszmość pana będę leczył.

ORONT: Mnie zaś?

GODFRID: Tak jest.

ORONT: Jam zdrow z łaski Pana Najwyższego.

GODFRID: Co mi do tego, że waszmość pan zdrow. Ja muszę sobie szukać chorego. Ale i to nieprawda, że waszmość pan zdrow. Bo ja znam z oczu, że waszmość pana ząb boli. Muszę go wyrwać. Niech dadzą krzesła.

ORONT: Co, waszmość pan? Ja mam zęby zdrowiuteńkie!

GODFRID: Ale się waszmość pan nie znasz na tym. Ja lepiej wiem, że waszmość pana ten ząb wielki straszliwie boli. Siadaj, waszmość pan.

ORONT: Jak żyję, tak mi zęby nigdy nie bolały. Daj mi waszmość pan pokój.

GODFRID: Niechże przynajmniej krew puszcze waszmość panu.

ORONT: Ale ja nie potrzebuję żadnej łaski waszmość pana.

GODFRID: Otóż na uwolnienie żołądka dam waszmość panu ławatywę. Od tego waszmość pan nie możesz się wymówić.

ORONT: Ale idź waszmość pan sobie ode mnie. Daj mi waszmość pan pokój z temi przysługami.

GODFRID: Kiedy tak, kłaniam. Będziesz waszmość pan tego żałował. (*Do ludzi:*) Co to za głupstwo? Ja jego chcę leczyć, a on się zbrania? I on podobno ma kawałek manii.

Scena 3

Oront, Sbrigani po kupiecku ubrany

SBRIGANI (*zmyślając sobie mowę szlżacką mówi*): Mospan Polak! Bez uraza waspana. Ja jest kupca szlżaska. Szy nie mógłby ja spytać jedna bagatela waspana?

ORONT: Czemu nie? Słucham.

SBRIGANI: Ale proszę, moszi dobroziej, nakryć swego glofa.

ORONT: Mniejsza o to. Czegóż chcesz waszmość pan?

SBRIGANI: Ja nie moga pifrij mofić, aż waszmość pan swego glófkki nakryć.

ORONT: Niechże i tak będzie.

SBRIGANI: Szy waspan nie zna na tego miasta pana Oronta?

ORONT: Znam.

SBRIGANI: Proszę mi mofić, jaka to jest szlofieka?

ORONT: Jest człek taki, jako i inni ludzie.

SBRIGANI: Ale szy on jest bogata?

ORONT: Dla siebie dosyć jest bogaty.

SBRIGANI: Ale czy barzo fielka bogata?

ORONT: Dla niego jest dosyć bogaty.

SBRIGANI: Chwal Bóg, że ja to fiem.

ORONT: Ale dlaczego się waszmość pan mię o to pytasz?

SBRIGANI: Mam fielką tego racjon.³⁶

ORONT: Ale przecie?

SBRIGANI: Ja ślyszął, że pan Oront jest bliska krefna Dreynara.

ORONT: Tak jest. Dreynar jest jego siostrzeniec. Ale cóż z tego?

SBRIGANI: Ten pan Dreynar ma fielka długa na Wroclaf.

ORONT: Kto? Pan Dreynar ma długi?

SBRIGANI: I barso fielka, moszi dobroziej. A kiedy nie miał sposób ta długa sapłacić, jest go był u nas oszelmofana.³⁷

ORONT: Kto? Dreynar oszelmowany?

SBRIGANI: Ten sam, moszi dobrodzieju.

ORONT: Skądże te długi?

SBRIGANI: Z bagatela, moszi dobrozieju. Zawsze grać w karta, w kościa i, usziwszy uszy waspana, jest wielka pianica. Nasza miasta jego oszelmować, bo jest barzo nieposziwa. Ale teraz na Wroclaf slychać, że pan Oronta jest jego krefna, ma na jego person zapisać swego dobra, i swego pieniąż i dlatego nasz miasta mnie tu pośląć i dać commission³⁸, żeby ja te dobra i ten pieniąż arestować.

ORONT: Jak to aresztować?

SBRIGANI: Tak, moszi dobrozieju. Mego miasta mieć permission³⁹ od tutejsza dwora, żeby moszna zaarestofać. Ja tylko czeka zapisy pana Oronta na pana Dreynar. Skoro tego sapisa bęzie, ja saraz jest byl areszt polożyć, a piniądz wziąć za długa.

ORONT: Piękna nowinka! Kłaniam waszmość panu. (*Odchodzi*).

SBRIGANI: Ziękuję za information⁴⁰, moszi dobrozieju. (*Po tym mówi do ludzi:*) Dobrze idą początki. Zrzućmy te suknie, a myślmy o dalszych zabiegach. Będę kłócił póty Oronta z Dreynarem, aż Ernestowi dziedzictwo wykłóćę.

Scena 4

Sbrigani, Dreynar

DREYNAR: Bodaj by tego hultaja zjadła piędziesiąt pięć choroba! Ha!

SBRIGANI: Cóż to jest, mości panie?

DREYNAR: Mnie się zda, że klopca tego pan felczer mnie dała ławatyw!

SBRIGANI: Jak to? Co to? Który felczer?

DREYNAR: Waspan nie fie, co mnie za figla⁴¹ zrobić na tego gospoda?

³⁶ Powód (łac. ratio).

³⁷ W dawnych wiekach oszelmowanie polegało na okaleczeniu ucha. Sbrigani być może jednak używa tego pojęcia w sensie przenośnym.

³⁸ Polecenie (fr. commission).

³⁹ Pozwolenie (fr. permission).

⁴⁰ Wiadomość (fr. information).

⁴¹ W wydaniu lwowskim: figiela.

SBRIGANI: Nie wiem ni o czym. Jakem sługa waszmość pana życzliwy.

DREYNAR: Ja rozumiał, że tam być dobra ludzia.

SBRIGANI: Cóż tedy? Zmiłuj się, powiedz mi waszmość pan.

DREYNAR: Ten pan przyjaciel, co mofil, że mnie snala na Wroclaf, zostawila mnie na⁴² swego gospoda. Pan felczer mi kazala siezieć. Ja siezieć.⁴³ On prosić mego ręka, ja mu dać mego ręka. Jego klopca i on samego wziąć mego ręka tego i tamtego. I mofić, że ja chora, a ja byl zdrofa, zdrofiuteńka. Po tym mnie saprosić na izba, polożyć na lószka, trymac, wiązać, lajać⁴⁴: „glupa, glupa maniaka”. I po tym ja sam nie fiem, co on za figla mi polożyć. Ja rozumie, że on mi dal lawatywa i mofil: „to bęzie zdrofa, zdrofa”.

SBRIGANI: Cóż to znaczyło? Czego oni chcieli od waszmość pana?

DREYNAR: Ja sama nie fiem. Po tym chcial krowa z mego ciele puścić.

SBRIGANI: Jaką krowę?

DREYNAR: Krofa szy krefa z mego ręka puścić lancetem. Ja mu nie dafać, on mnie sa glofa. Ja go lajać, on mnie bić na pyska. A po tym ja wizę, sze to nie szarty. W nogi i uciekla od nich. On mnie gonić, a ja nie dać dogonić.

SBRIGANI: Ale ja pojąć nie mogę, co oni chcieli z waszmość panem robić?

DREYNAR: Ja rozumieć, że to jest figla mego pan przyjaciel. Chciala se mną szartofać! On mosze rozumi, sze ja glupa, a ja nie glupa. Ja go nigdy nie snala, nie wizala, a on koniecznie mofić, że on znal na Wroclaf i mego person, i mego familia.

SBRIGANI: Ale kto by się tego spodziewał po nim? Z oczu jego zdawało się, że był człowiek cale poczciwy. I rozumiałem, że on szczerze kochał waszmość pana. Ja pojąć nie mogę, jak to ludzie umieją obłudnie z drugimi postępować? Ja bym pierwej umarł, niżbym się na to odważył.

DREYNAR: Ale chciej mi dobrodzieju pofiadać, szy ja nie wziol lawatywa? Mnie się zda, że ja pachnąc lawatywa a lawatywa!

SBRIGANI: Jest ci jej zapach. Ale może jej waszmość pan potrzebował?

DREYNAR: Ja? Fe! Na co mnie tego szarta? Ja mieć szoładka folna, folniuteńki.

SBRIGANI: Niepodobna. Musi to być jaki figiel. Ale ktoby się spodziewał, żeby się między ludźmi taka obłuda znajdować mogła!

DREYNAR: Ale niszego! Bęzie ja oddać jemu szarta za szarta! Tylko proszę mnie pokazać doma pana Oronta.

SBRIGANI: Pana Oronta?

DREYNAR: Ja, ja, tak jest! To jest mego krefna. Jego siostra byl mego matka.

SBRIGANI: To waszmość pan jesteś jego siostrzeniec?

DREYNAR: Tak jest. On teraz chce sapisać swego dobra na mego person.

SBRIGANI: Pana Oronta! Rozumiem. Ach!

⁴² W wydaniu lwowskim: u.

⁴³ W wydaniu lwowskim: ja siedzić na izba.

⁴⁴ W wydaniu lwowskim: Po tym mnie saprofadzić, wziąć, lajać.

DREYNAR: A szo takiego?

SBRIGANI: Ej, nic.

DREYNAR: Ale proszę mi pofiadać.

SBRIGANI: Ale nie cale! Wymówiłem⁴⁵ się troszkę. Ale to z prędkości.

DREYNAR: Ale musi być tu jaka diabla. Chciej mofić, moszi dobroziej.

SBRIGANI: Ale to fraszka.

DREYNAR: Choć fraszka, proszę mofić.

SBRIGANI: Nie mogę. Proszę mię od tego uwolnić.

DREYNAR: Mój dobroziej. Szy waszmość pan jest mego prafdziwa przyjaciel?

SBRIGANI: Alboż waszmość pan o tym powątpiewasz?⁴⁶

DREYNAR: Ja nie fątpić. Ale przyjaciel nie pofinna nic taić.

SBRIGANI: Ale chodź tu o sławę i honor bliźniego. Boję się, żebym swego nie zawiódł sumnienia.

DREYNAR: Mój moszi dobroziej. Ja waszmość panu darofać tego piękna pierścionka. Ma waszmość pan. Ale mofić, śmiluj się.

SBRIGANI: Niechże się poradzę pierwej mego sumnienia. Ten człowiek... Prawda, że o tym wie całe miasto. Chciałby on, ale...

DREYNAR: Smiluj się, smiluj się nie bafić, mofić.

SBRIGANI: Ale ja się lękam grzechu. Waszmość pan wiesz, że nie wolno tego mówić przed innemi, co sławie bliźniego może zaszkodzić. I chociaż u nas wszyscy już o tym wiedzą, jednakże, ponieważ waszmość pan o tym nie słyszałeś jeszcze, nie godzi mi się tego wydawać przed waszmość panem, żebym mu serca do jego nie zepsował. Prawda i to, że zaszkodziłbym wielce waszmość panu, gdybym przed nim rzecz taką zamilczał, która waszmość pana na sławie i fortunie zgubić może. Waszmość pan tu przyjeżdżasz jako do wuja, nie mając żadnego o nim złego pomyslenia, przyjeżdżasz z miłości ku niemu⁴⁷ wiernej i niewinnej. Tymczasem mógłbyś wpaść w biedę niemałą! Zda mi się tedy, że przez sumnienie obowiązany jestem ratować waszmość pana jako człeka niewinnego, ni o czym niewiedzącego, a do tego przyjaciela, który mi i teraz na dowód swojej przychylności dał pierścień tak piękny, który na mnie cały polega. Mogę, mogę bezpiecznym sumnieniem to waszmość panu przełożyć. Tylko...

DREYNAR: Ale, proszę, pręzej, smiluj się.

SBRIGANI: Zaraz, tylko chciałbym jak najskromniej mówić, żebym i sławy panu Orontowi nie ujął, i waszmość pana ratował. Słuchaj tedy, waszmość pan. Pan Oront (nie obmawiając, to mówię) zaciągnął tu długi większe, niż jego dobra wystarczyć mogą; kredytorowie⁴⁸, postrzegłszy się, osadzili go w kozie. (Ale to nie ma nic. Waszmość pan przez to serca do niego nie chciej tracić). On, siedziawszy w kozie pół roku, taki sposób ratowania się wymyślił: Powiedział przed temi,

⁴⁵ Wygadałem.

⁴⁶ W wydaniach lubelskim i lwowskim: powątpiwasz.

⁴⁷ W wydaniu lwowskim: niemu.

⁴⁸ Wierzyciele.

którym jest winien, że ma w Szląsku siostrzeńca bogatego. Ten siostrzeniec ma tu przyjechać, ażeby wziął w dzierżawę jego dziedzictwo. Skoroby zaś siostrzeniec te objął dobra, wraz kredytorowie mają go pochwyć, osadzić w kozie i póty go trzymać, aż z dóbr swoich szląskich poopłaca długi wuja swojego.

DREYNAR: Jak to? Ja z mego dobra płacić długę jego.

SBRIGANI: A jakże? Wszak dziedzicowie są obowiązani swych przodków długi uspakajać. Qui succedit in bona, succedit in onera.⁴⁹ Ale to nie obmawiając jego, mówiłem. Wszakże ludzie jesteśmy.

DREYNAR: A kiedy ja nie zechcę brać jego dziedzictwa?

SBRIGANI: Ale on chce gwałtem waszmość panu oddać.

DREYNAR: Gwałtem dać? Ni będzie z tego niszego. Taka figla na mego person!

SBRIGANI: Cóż ma robić nieborak? Chodzi mu o skórę. Ratuje się, jak może. Ale waszmość pan przez to serca nie trać do niego. Czy mało co się ludziom przytrafia?

DREYNAR: Ja nie będzie brać jego fortuna, niech szarta brać taka fortuna.

SBRIGANI: Ale się obawiam, czym nie zawiódł mego sumnienia przez to, zem to wydał przed waszmość panem. Ale może się i ja myślę, waszmość pan mnie nie wierz. Pytaj się sobie drugich. Prawda, że tu umyślnie tę rzecz tają, żeby waszmość pana mogli w sidła wprawić i kredytorów uspokoić.

DREYNAR: Mnie dzifno był, że on ma swego synofiec, a jemu nic nie dać, tylko dla mego person. Skąd taka laska?

SBRIGANI: Synowiec jego nie dał się oszukać, bo on wiedział całą tę historią, dlatego wyrzekł się i stryja swego, i fortun jego. Ale oto i sam Oront idzie.

DREYNAR: Tego to staruszka?

SBRIGANI: Ja uciekam. Nie daj się mu waszmość pan oszukać.

DREYNAR: Ja go będzie zlajać.

Scena 5

DREYNAR: Nanisza śluga pan Oront, czlofieka posziwa.

ORONT: Kłaniam waszmość panu.

DREYNAR: Szak waszmość pan jest poczcwiwy pan Oront?

ORONT: Tak jest. Jestem Oront.

DREYNAR: A ja jest jegomość pan Dreynar.

ORONT: Winszuję.

DREYNAR: Waspan rosumi, że ja głupa, że ja będzie brać fortuna waszmość pana? Wybaszyć proszę. Nie trzeba mi tego laska.

ORONT: Cóż to za przywitanie? (*Do ludzi:*) Prawdziwie on jest maniak!

DREYNAR: Szeby waspan nie był mego krefny, toby ja inaszy za jego figla poziękofal.

⁴⁹ Kto dziedziczy dobra, ten dziedziczy zobowiązania (łac.).

ORONT: Jakie figle?

DREYNAR: Wiem ja, wiem nieposziwa zdrada waspanofego.

ORONT (*do ludzi*): Otóż pociecha z siostrzeńca.

DREYNAR: Ja się stydzić, że waspan mego krefna! Ja nie chce snąć taka krefna, która mi zrobi figla szelmofego.

ORONT: Co się to dzieje! Otóż doczekałem się jego przybycia!

Scena 6

Oront, Dreyнар, Sbrigani, Anzelm w sukniach podróźnych

ANZELM: Gdzież on jest?

SBRIGANI: Oto go waszmość pan widzisz.

ANZELM: On to dał waszmość panu ten pierścień?

SBRIGANI: On.

ANZELM (*do Dreynar*): A tak to, złoczyńco, hultaju, ze mną postępujesz?

DREYNAR: Kto? Ja?

ANZELM: Ty złodzieju, ty!

DREYNAR: Jakby to na mego person waszmość pan mofić?

ANZELM: Tak jest, tak. A godziło się to tobie, kiedyś u mnie popasywał, ukraść ten pierścień i pieniądze z nim razem schowane?

DREYNAR: Jakby to ja był ukraść?

SBRIGANI: Jegomość, spotkawszy mię na ulicy, postrzegł ten pierścień, który mam od waszmość pana i powiada, że mu go razem z pieniędzmi ukradziono, wtenczas kiedyś waszmość pan, jadąc do Warszawy, u niego popasywał. Wszakże to waszmość pana jest pierścień? Waszmość pan mi go dał?

DREYNAR: Ja, ja.

ORONT: I to piękna nowinka.

DREYNAR: Ale to mego własna jest pierścionka.

ANZELM: Jak to? Ja dziesięciu świadków postawię, którzy dziś przysięgną, że ten pierścień u mnie znają już od lat piętnastu.

DREYNAR: Ale...

ANZELM: Pójdiesz, pójdiesz, nie bawiać, na szubienicę, złodzieju.

DREYNAR: Ale...

ANZELM: Podobał mu się ten pierścień! I jeszcze przy nim pieniążki...

DREYNAR: Ale jako szywo...

ANZELM: I nie dość, że mię okradł, ale goniącego się za sobą⁵⁰ parobka pchnął szpadą śmiertelnie.

DREYNAR: Ale...

ANZELM: Ten parobek umrze, jakem pocziwy.

⁵⁰ Goniącego go.

DREYNAR: Ale słuchać...

ANZELM: W sam go brzuch bezbożnie pchnąłeś swą szpadą. Taka to twoja pocziwość.

DREYNAR: Ale...

ANZELM: Hultaju, złodzieju, zbójco!

DREYNAR: Ale...

ANZELM: Oddasz ty moje pieniądze.

DREYNAR: Ale...

ANZELM: Spod skóry ci ich dobędę.

DREYNAR: Ale...

ANZELM: Jest u nas wszelka sprawiedliwość na złodziejów.

DREYNAR: Ale tam do diabła! Niech ja mofić!

ANZELM: Nie w Szląsku to, nie w Szląsku. Nauczym my cię rozumu.

DREYNAR: Ale...

ANZELM: Ale co za śmiałość twoja, hultaju, rozbójniku, złodzieju.

DREYNAR: Ale...

ANZELM: Rozumiałeś, że to u nas wolno kraść, wolno ludzi zabijać?

ORONT (*do ludzi*): Nie chcę i przyznawać się do takiego siostrzeńca! (*Odchodzi.*)

SBRIGANI: Ale mości panie, jegomość mówi, że to jest jego własny pierścień!

DREYNAR: Prawda mówi, tak jest, jest mego.

ANZELM: Jużem mówił, że mam na to piętnastu świadków przysięgłych. Dość tego, idę, idę do sądu. Nim słońce zajdzie, będziesz wisiał, upewniam. Nie ujdiesz mi stąd, strzegą cię dobrze.

Scena 7

Sbrigani, Drey nar

DREYNAR: Jesze ja tak szalona szlowieka nie wiział, waraftich nie wiział. Ukraść, ukraść, a ja nie ukraść. Ja miał kraść mego własna piersionka?

SBRIGANI: Ja się sam obawiam, żebym tu nie wpadł w jakie nieszczęście! Ale cóż? Choćby mi i zginąć, ja waszmość pana nie odstąpię.

DREYNAR: Smiluj się, dobroziej, nie odstąpić. Ja tu nima nikogo znajoma, ale ten piersionka jest mego samego serdecznego i prafdzifego!

SBRIGANI: Ale czy waszmość pan tu z tym ludem dojść sprawy chciaeś? To pewna. Kiedy on pokaże świadka choć jednego, to waszmość pana tu tak skarżę jako złodzieja.

DREYNAR: I ja świadki dwadzieścia pokażę, że to jest mego szczerego pierścionka. Ja kiedy na Wrocław bywać na bankiety, to u mnie każda ten pierśonek wizić i ziwofać.

SBRIGANI: Albo to oni zechcą tak długo czekać, nim waszmość pan świadków sprowadzisz z Wrocławia. Tu złodziejów strasznie karzą i żadnej zwłoki nie cierpią. Ale... To mi dziwno... Jak sobie chce.

DREYNAR: Szo takiego?

SBRIGANI: Ej, nic. Nie chcę posądzać, bo się boję szkrupułu. Jednakże żeby pan Oront waszmość panu sprzyjał i chciał szczyrze mu zapisać swe dobra, nie szukając swego pożytku, powinien by za waszmość pana jako swego siostrzeńca w takiej okoliczności choć słówko zarzucić. A przecież nie rzekł, jakbyś waszmość pan do niego nie należał.

DREYNAR: Prawda, waraftich prawda. Ja wize teraz, że on mnie chce zdradzić!

SBRIGANI: Kto wie, (ale nie rozsądzam), czy nie z jego to namowy taką rzecz waszmość panu zadają? Kto wie, czy nie chce pan Oront tym sposobem pieniędzy od waszmość pana na wypłacenie swych długów? Ale nie, nie posądzam. Boję się, żebym swego sumnienia nie zawiódł.

DREYNAR: Mosze to być.

SBRIGANI: Strzeż się, waszmość pan, żeby waszmość pana nie schwymano i nie osadzono w kozie!

DREYNAR: Ale za co? Szo ja winna?

SBRIGANI; Albo to waszmość pan chcesz dojść sprawiedliwości, waszmość pan rozumiesz, że to u nas jak we Wrocławiu? Życzę waszmość panu uciekać. Tylko to bieda, że oni pilnują mocno.

DREYNAR: Śmiluj się, dobroziej, ratować. Ja sa to bęzie dobre nagrozić. Ja tu jest sierota, ni ma nikogo znajoma.

SBRIGANI: Będę się starał usłużyć waszmość panu, upewniam, że go nie odstąpię, choćby mi i życie przyszło utracić. Chodź, waszmość pan, do mego domu. Tam się naradzę z swemi przyjaciółmi.

DREYNAR: Śmiluj się, śmiluj się, dobroziej mego kochanego.

SBRIGANI (*do ludzi mówi*): Dobrze rzecz idzie, spodziewam się, że się i koniec powiedzie.

AKT III

Scena 1

Sbrigani, Ernest

SBRIGANI: Bądź waszmość pan pewien, że się nam wszystko uda. Nie będę Neapolitańczyk, jeśli waszmość pan nie zostaniesz dziedzicem dóbr stryjowskich. W Dreynara wszystko, co zechcę, wmówię i stryj waszmość pana mało co trudniejszy do tego. Dreynara zatrwożyłem teraz bardzo sądem tutejszym, nieprześląganym dla złodziejów. Tą trwogą przerażony, chce czym prędzej do Szląska umykać. I żeby mu się to łatwiej powiodło, przestroił się z mej rady po żydowsku, rozumiejąc, że go w tym ubierze nie poznają. Ja też, chcąc u niego wydrwić co

pieniążków, namówiłem kilku żołnierzy i, jak z nim postąpić mają, nauczyłem. On całą swą nadzieję we mnie pokłada. Prócz tego pierścienia dał mi jeszcze piętnaście czerwonych złotych.

ERNEST: Radbym go teraz widział po żydowsku. Musi być piękne z niego zwierzątko.

SBRIGANI: Myśl tylko waszmość pan, żebyś swoją rzecz udał dobrze. Pamiętasz waszmość pan?

ERNEST: Pamiętam. Nie bój się.

SBRIGANI: Ja udam przed stryjem, że go Dreynar chce zabić, a waszmość pan niby go bronić będziesz.

ERNEST: Ale wiem wszystko. Mam wszelką do tego gotowość. Jużem i ludzi do tego namówił, którzy imieniem Dreynara mają napaść tej nocy na stryja.

SBRIGANI: Dobrze, dobrze. Otóż i Żydek nasz płynie. Schroń się, waszmość pan.

Scena 2

Sbrigani, Dreynar po żydowsku

SBRIGANI: Mnie się zda, że waszmość pana w tych sukniach żaden a żaden nie pozna. Jakem pocziwy, Żyd a Żyd z waszmość pana.

DREYNAR: Ja, prafda. Ale mi barso ziwna, że na ten kraj ni ma sprawiedliwość świętą. Ja człowiek niefiniuteńka jak palec, a on mi chce sznurka założyć na szyja i polożyć na szubienica.

SBRIGANI: Cóż robić? Tu jest dziwny zwyczaj. Tu, kiedy kogo oskarżą o zło-dziejstwo, to go pierwej obieszają, a po tym sprawę przywołają i sądzą, jeśli on był winny, albo niewinny.

DREYNAR: Piękna sprawiedliwość! Niech szarta weźmie taka sprawiedliwość!

SBRIGANI: Na złodziejów nigdzie sądu nie ma surowszego jako u nas. Zaraz stryczek na szyję i na szubienicę.

DREYNAR: Ale kiedy nic niefinna.

SBRIGANI: Kiedy kogo niewinnego obieszają i postrzegą po tym na sądzie jego niewinność, to go pochowają pięknie i każą ogłosić po mieście, że on niewinnie obieszony. Tym sposobem sławę niewinnym przywracają.

DREYNAR: Niech szarta weźmie tego śława, kiedy już ja nie szyję, śmiluj się ratować mię, biedna sierota. Co ja szynić biedna na taki kraj bezbożna?

SBRIGANI: Upewniam waszmość pana, że wszelkich zażyję sposobów na jego ratowanie, choćby mi przyszło życie utracić. Ale jeśliby koniecznie chcieli waszmość pana obiesić, upewniam cię, póty nie odstąpię od szubienicy, aż wszelkie wieszania obrządki będą zakończone.

DREYNAR: Ziękuję, moszi dobroziej, za dobra serca.

SBRIGANI: Po obieszeniu waszmość pana nie umiałbym żadnej smutku mojego pociechy do serca przypuścić, aż do samej śmierci. Tak mu sprzyjam!

DREYNAR: Ale ja nie chcę tego smutka. Ja chcę, żeby ja nie wisiał.

SBRIGANI: Może też to i nie przyjdzie do tego. Tak się to tylko mówi. Mnie się zda, że waszmość pan łatwo ujdiesz w tych sukniach z rąk nieprzyjacielskich. Tylko trzeba i gadać, i chodzić, i postępować, jako Żydzi zwykli.

DREYNAR: Co tego, to ja potrafić. Ja umieć dobra żydowska manier. Ja z nimi szęsto pretafać.

SBRIGANI: Tylko pojazd, którym waszmość pan masz stąd umykać, czy jest gotowy?

DREYNAR: Gotofa, gotofiutenka stoi, tam do diabła, sa brama.

SBRIGANI: Teraz waszmość pan możesz stąd umknąć, ale jak po tym znowu zechcesz tu powrócić, to się boję, żeby nie schwytano.

DREYNAR: Ja tu powrócić? Ja powrócić na tego kraja bezbożna? Szeby mi milion Rhein Taller⁵¹ dafać, to nie będzie mieć tego szęścia.

SBRIGANI: Ale obaczysz waszmość pan, że pan Oront swemi obietnicami i zapisaniem dziedzictwa zwabi waszmość pana znowu do tychże samych sideł, w które teraz chciał wplątać.

DREYNAR: Nie będzie ja teraz tak głupa. Nie oszukać mi więcej. Żadna jego lista szytać nie będę i żadna mofa nie będzie śluchać. Niech siezi sobie na koza za swego długa i za swego zdrada.

SBRIGANI: Idźmy-ż tedy, umykajmy.

DREYNAR: Ja, ja, gut.⁵²

SBRIGANI: Stój, waszmość pan, stój, żołnierze stąd idą, poczekajmy, aż nas miną. Tylko waszmość pan śmiało postępuj.

DREYNAR: Ja jest śmiala, tylko mego serca i mego lytka trep, trep, trozka kifać.

SBRIGANI: Nie bój się, waszmość pan. Potrafię ja w to, że wszystko będzie dobrze. Ale... Czy wszystko waszmość pan masz z sobą? Czy nie zostawiłeś czasem tu pieniędzy?

DREYNAR: Oj, nie. Pieniądz jest na mego kaftan.

SBRIGANI: Otóż idą.

Scena 3

Sbrigani, Dreynar i dwóch Żołnierzy

ŻOŁNIERZ I: Pospieszajmy! My i w piekle Dreynara znajdziemy; nie skryje się on przed nami.

ŻOŁNIERZ II: A to co za ludzie? Czy nie znacie, panowie, niejakiego Dreynara złodzieja?

DREYNAR: Nie, moszi dobrodzieju, nie znam, ani jego, ani jego matki.

⁵¹ Talar reński. W drukach: Reins Taller.

⁵² Tak, tak, dobrze (niem.).

SBRIGANI: Ja go znam dobrze.

ŻOŁNIERZ I: Zmiłuj się, czy nie wiesz⁵³, waszmość pan, gdzie się on kryje.

SBRIGANI: Powiadają, że on już dawno stąd wyjechał.

DREYNAR: Prawda, ja sam wzieć, jak on pojechał, tam na choroba.

ŻOŁNIERZ II: Oj, nie mógł on wyjechać! Pilnują go dobrze we wszystkich bramach. Ach, gdybyśmy go mogli pochwycić, miałby się od nas wyśmienicie. Nieboraczka szubienica bardzo tęskni do niego.⁵⁴

DREYNAR: Ale on nic niewinna, moszi dobrodzieju.

ŻOŁNIERZ I: Niewinny zaś? I złodziej, i zbójca! Nie dość, że pieniądze ukradł, ale jeszcze i człeka niewinnego śmiertelnie ranił.

ŻOŁNIERZ II: Ale ty, Żydku, mówiłeś pierwej, że go nie znasz, a teraz mówisz, że on niewinny?

DREYNAR: Ja tak tylko...

SBRIGANI: Ten Żydek ode mnie to słyszał. Jakoż mnie się zda, że on nic nie winien. Ze złości go tylko podobno udano.

ŻOŁNIERZ I: Co waszmość pan mówi? Sam pierścień, który on dał jakiemuś przyjacielowi swemu, jest dowodem jego występku,

SBRIGANI: Ale on mówi, że to jest jego własny pierścień; i gotów sprowadzić świadków z Wrocławia, którzy od lat dawnych u niego ten pierścień widzieli.

ŻOŁNIERZ II: Co, świadków? Ja sam świadkiem jestem, że ten pierścień od lat dziesięciu widziałem u tego człeka okradzonego. Kiedy chce, niech sobie sprowadza z Wrocławia, obaczemy. Ale pierwej, nim świadkowie przyjadą, on musi wisieć.

SBRIGANI: Ale to może podobny pierścień...

ŻOŁNIERZ II: Ale darmo, darmo, musi on wisieć. A skąd ten Żydek?

SBRIGANI: Z Wołynia.

DREYNAR: Tak jest, z Wołynia, moszi dobrodzieju.

ŻOŁNIERZ I: Z Wołynia? A za cóż on gada z niemiecka?

SBRIGANI: Bo on sam jest rodem z Wiednia i niedawno na Wołyń przeniósł się.

ŻOŁNIERZ I: Słuchaj, Żydku, a gdzie ten Wołyń leży?

DREYNAR: Oto, moszi dobrodzieju, za Szląską, na sama Czechy.

ŻOŁNIERZ I: Jak to? Wołyń za Szląskiem w Czechach?

SBRIGANI: A⁵⁵ bo widzisz waszmość pan, że dwa są Wołynie. Jeden u nas w Polsce, a drugi w Czechach. Nasz Wołyń jest kraj, a Wołyń czeski jest miasto.

DREYNAR: Prawda mofi. Ja.

ŻOŁNIERZ I: To co inszego.

DREYNAR: Moszi dobrodzieju, ale ten pierścionka jest sapewna pana Dreynar, on gotowa przysiędz, dalipan.

⁵³ W wydaniu lwowskim: nie wiesz.

⁵⁴ W wydaniu warszawskim: jego.

⁵⁵ W wydaniach lubelskim i lwowskim: Ale.

ŻOŁNIERZ II: Co jego przysięga? Nas dziesięciu na to przysięże, że ten pierścionek ukradł ów złodziej Dreynar. Ale ten Żydek z tak daleka idący musi mieć pieniądze.

DREYNAR: Ni ma, ni jeden fenik.

SBRIGANI: To Żydek jest ubogi.

DREYNAR: Prafda, uboga, nieboraszka.

ŻOŁNIERZ I: Ale kto wie? Poszukajmy.

ŻOŁNIERZ II: Obaczemy...

(Ciagną Dreynara jeden do siebie, drugi do siebie.)

DREYNAR: Szo robić? Gwałta!

SBRIGANI: Ale dajcie, waszmość panowie, pokój niewinnemu Żydkowi.

DREYNAR: Gwałt, gwałt, ratofać, ratofać!

Scena 4

Ciż sami i Wachmistrz

WACHMISTRZ: Co to za hałas? Za co tego Żyda targacie? Precz mi zaraz. Bo wam tą laską grzbiety ochędożę.

ŻOŁNIERZ I: Ale my żartujemy tylko.

DREYNAR: Piękna szarta! Chcial pieniąż na kieszeń szukać!

ŻOŁNIERZ II: Wstydz się, mój bracie, nie znasz się na żartach.

DREYNAR: Taka żarta, tam do szarta.

SBRIGANI: Podziękuj, waszmość pan, imć panu wachmistrzowi, że waszmość pana ratował.

DREYNAR: Pokorna zięka, moszi dobroziej.

WACHMISTRZ: A to co? Czy się mylę? Nie. Oto ta sama twarz, którą mi opisano! Tak, on to zapewne.

DREYNAR: Nie, moszi dobrodziej, nie. To nie jest ja.

WACHMISTRZ: Ale...

DREYNAR: Waraftich to nie mego person. Ja jest Żydka uboga, nieboraszka.

WACHMISTRZ: Ale jak to?

DREYNAR: Ja ma świadka, jegomości, że to nie ja.

SBRIGANI: Ale upewniam waszmość pana, że to nie on.

WACHMISTRZ: Ale skąd tak troskliwa⁵⁶ wymówka? Skąd ta bojaźń?

SBRIGANI: Zwyczajna to rzecz Żydom, o lada fraszkę trwożyć się.

WACHMISTRZ: Powiedz mi tylko, czy ty prawdziwy Żyd jesteś?

DREYNAR: Moszi dobroziej, jakem Dreynar, tak, prawdziwa Żyda.

WACHMISTRZ: Co, Dreynar?

DREYNAR: Ni, ni, ja nie jest Dreynar. Ja jest Żydka z Wołynka.

WACHMISTRZ: A skąd tobie to słowo Dreynar?

DREYNAR: Ja sam nie fie, skąd tego słow, przyszedł na moj głow.

⁵⁶ Lękliwa.

SBRIGANI: Oto widzisz, waszmość pan, gadaliśmy z nim teraz o Dreynarze złodzieju i jemu to imię najprzód do uszu, po tym z uszu do głowy, a z głowy do gęby wleciało.

WACHMISTRZ: A ta broda jaka, na sznurkach?

DREYNAR: To jest mego własna broda żydowska.

WACHMISTRZ: Własna? A przywiązana! Daj sam brodę. (*Odrywa brodę Dreynarowi*). Aha! Otóż ta sama twarz, której szukam. Witam waszmość pana, mości panie Dreynar.

SBRIGANI: Zginęliśmy teraz!

DREYNAR: Jusz poznał, jusz ni można figlofać.

WACHMISTRZ: Winszuję sobie tego szczęścia.

SBRIGANI: Ach, mości panie wachmistrzu, przez tę przyjaźń, którą z dziecinnych lat mamy, proszę, czy nie można jak w to potrafić, żeby jegomości do kozy nie prowadzono?

WACHMISTRZ: Czy to podobna? Zgubiłbym siebie na wieki!

SBRIGANI: Czy nie można, jak tej rzeczy zagodzić⁵⁷ czerwienczykami?⁵⁸

WACHMISTRZ: Ja bym to i darmo dla przyjaźni waszmość pana uczynił, gdyby to można było. Ale darmo, idź, waszmość pan, tymczasem do kozy, nim pójdziesz na szubienicę.

DREYNAR: Śmiał się, śmiał się, mego dobroziej, ja nie lubić koza i szubienica.

SBRIGANI: Miej waszmość pan litość na tym człowiekiem. Oto i czerwienczyki!

WACHMISTRZ (*do Żołnierzy*): Ustąpcie stąd zaraz.

(*Żołnierze odchodzą.*)

DREYNAR: O, jaka bida, jaka bida. Treba dać piniądz!

(*Dobywa piniądz.*)

SBRIGANI: Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedm, ośm, dziewięć, dziesięć!

DREYNAR (*do Sbriganiego*): Doszyć bęzie, doszyć!

WACHMISTRZ: Nie chcę, nie chcę tych piniądz. Mam taki rozkaz, żeby go schwytać, w kozie potrzymać i kazać jak najprędzej obiesić. Idźmy!

SBRIGANI: Dla Boga, poczekaj waszmość pan, cokolwiek masz łaski. Jeszcze damy waszmość panu pięć czerwonych złotych.

DREYNAR: Ale bo...

SBRIGANI: Co, nie chcesz waszmość pan dać więcej? Mniejsza o to. Niechże prowadzi waszmość pana. Będiesz waszmość pan miał pożytek z swych piniądz, gdy będziesz wisiał.

DREYNAR: Prawda mofić. Ja! Weź waspan jesze pięć czerwionca.

WACHMISTRZ: Trzebaż mi teraz będzie samemu stąd uciekać. Bo jak się dowiedzą, że uwolnił jegomości, to ja na miejscu jego pójde na szubienicę. Idź, waszmość pan, ze mną. Chodzi o mnie teraz. Muszę waszmość pana skrycie stąd wyprowadzić.

⁵⁷ Zaradzić, załagodzić.

⁵⁸ Czerwonymi złotymi, dukatami.

SBRIGANI: I owszem. Jegomość już ma i pojazd gotowy za bramą. Prowadź go tam, waszmość pan, a miej o nim staranie, jak możesz, największe.

WACHMISTRZ: Nie bój się, waszmość pan, wyprowadzę ja stąd jegomości. Bo się boję i o siebie.

SBRIGANI: Mój dobrodzieju, pamiętajże na to, że pan Dreynar jest mój przyjaciel. Cokolwiek mu wyświadczysz, to jakbyś mnie wyświadczył.

DREYNAR: Oto jedna tylko szlofieka pocziwa na tego bezbożna miasta. Oj, nie pofroci ja tu nigdy. Nie oszukać mi fięcej pan Oronta.

SBRIGANI: Jeśli powrócisz, to i mnie, i siebie zgubisz. Ale nie baw się, waszmość pan, wyjeżdżaj. Ja z mojej osobliwszej ku waszmość panu przychylności chciałbym, żebyś już odtąd był jak najdalej. Niech Pan Bóg waszmość pana szczęśliwie prowadzi.

DREYNAR: Klaniem, klaniem mego serdecznego i pocziwego przyjaciela.

SBRIGANI: Jużem go zbył politycznie. Miał po co z tak daleka przyjeżdżać. Wziął parę lawatyw i powrócił do Szląska! Nie drugi raz on do wuja przyjedzie. Ale Oront idzie. Zaczynam inną scenę.

Scena 5 Oront, Sbrigani

SBRIGANI (*jakby nie widząc Oronta, mówi*): I nie mogę, i nie mogę żadną miarą dopytać się o panu Orontcie! Boję się, żeby ten bezbożny Dreynar nie pospieszył swych zamysłów, jak go mam ostrzec...

ORONT: Co takiego? Co waszmość pan chcesz mi mówić?

SBRIGANI: Ach, chwała Bogu, żem znalazł waszmość pana. Mam wielką rzecz powiedzieć. Strzeż waszmość pan życia swojego jak najlepiej, bo zginiesz, upewniam. Wszak to ten maniak Dreynar przekupił kilku ludzi, żeby mości pana zabili. Jeden przede mną z tym się wydał, rozum[ie]jąc, że ja przyjaciel Dreynara.

ORONT: Czy on to? Otóż już się odkryła tajemnica. Teraz wiem, kto na mnie te zasadzki uczynił!

SBRIGANI: Albo co? Albo już...

ORONT: Już się to stało, w czym waszmość⁵⁹ mnie przestrzegasz. Alem tego nie wiedział, że to jest sprawka pana Dreynara.

SBRIGANI: Jam się dowiedział sekretnie, że czterech ludzi miało napaść na waszmość pana.

ORONT: Tak jest, czterech. Prawda, ale za co się on usadził⁶⁰ na me życie?

SBRIGANI: Za co! Czy nie dość tego, że waszmość pan jesteś bogaty, a on siostrzeniec, a do tego maniak. Ale jakże się to stało, mój dobrodzieju?

ORONT: Ja szedłem sobie pięknie i spokojnie do mego domu, nic się cale nie obawiając, i dlatego żadnego człeka nie miałem za sobą. Gdy mijam kamienicę

⁵⁹ W wydaniu lubelskim: waszmość pan.

⁶⁰ Zasadził.

mego synowca Ernesta, alie napadam⁶¹ na czterech ludzi. Ci skoro mię postrzegli, krzyknęli: „jest Oront, jest!” – i wraz do mnie z szpadami przybiegli. Bronię się i gwałtu wołam; w tym mój synowiec kochany (oj, prawdziwie kochany!), poznawszy mię z głosu, wypada sam jeden z kamienicy, krzyknie: „kto mego stryja, kto?” – i natrze na nich z taką śmiałością i męstwem, jakiego mi się widzieć nie zdarzyło nigdy. Oni mu wytrzymać nie mogą, w nogi. A on za nimi. Ja się bojąc, żeby on nie wpadł w jakie nieszczęście, zatrzymałem go, tymczasem zbójcy ucieczką się ratowali.

SBRIGANI: Więc pan Ernest waszmość pana obronił?

ORONT: On! Jemu winienem i zdrowie, i życie moje.

SBRIGANI: Wszakże słyshałem, że waszmość pan z panem Ernestem nie bardzo w dobrej żył przyjaźni?

ORONT: Prawda. Ale to złość i zazdrość ludzka nas poróżniła. Znam teraz jego niewinność, znam dobrze jego ku mnie serce! Postrzegłszy mię w niebezpieczeństwie, zapomniał na wszystkie swoje urazy, ba, i na życie swoje zapomniał, podając je w jawne niebezpieczeństwo, dlatego, aby mnie ratował. A co większa, w ten czas miłą przysługę oświadczył, kiedym mu najbardziej zalał za skórę, oddalając go do dziedzictwa, a chcąc temu maniakowi, złodziejowi i zbójcy dobra zapisywać.

SBRIGANI: Miałbyś waszmość pan pięknego dziedzica. Chciał, widzę, przed czasem objąć dobra waszmość pana. Ale widząc, że mu się nie udało, umknął od nas czym prędzej.

ORONT: Jak to, umknął? Pewnie już wyjechał?

SBRIGANI: Oto właśnie teraz, gdym szukał waszmość pana, leciał, co tchu miał, na koniu przez miasto.

ORONT: Ach, szkoda, że uszedł rąk moich. Ale cóż bym ja z nim robił, choćbym go i schwytał? Maniak! A do tego siostrzeniec! Czy miałbym swoją familią na języki ludzkie podawać?

SBRIGANI: Otóż i pan Ernest tu idzie.

Scena ostatnia Oront, Ernest, Sbrigani

ORONT: Ach, mój kochany synowcze! A wiesz-że, kto na mnie te zasadzki uczynił?

ERNEST: Nie wiem, mości dobrodzieju. Ale już moi przyjaciele szpiegują, muszą się koniecznie o[*d*] nich dowiedzieć.

ORONT: Nie trzeba. Już wiem.

ERNEST: Któż taki?

ORONT: Ach!

ERNEST: Chciej, waszmość pan dobrodziej, powiedzieć, zaraz biegnę i w sercu jego to żelazo utopię.

⁶¹ Trafiam.

ORONT: Ach, dajmy pokój! Wstyd⁶² i mścić się nad takim nieprzyjacielem!
Wszak to twój braciszek a mój siostrzeniec niezbożny!

ERNEST: Kto? Pan Dreyнар?

ORONT: Tak jest!

ERNEST: Dla Boga!

SBRIGANI: Ja się dowiedziałem o tym od pewnego jego przyjaciela pod sekretem i wraz biegłem ostrzec jegomości pana Oronta! Tylko nie mogłem tak prędko znaleźć onego.

ERNEST: Nie wierzę.

SBRIGANI: Ale ja gotowem i przysiąc na to.

ORONT: Jego to zapewne musi być sprawka. Bo któżby to śmiał czynić? Żadnego tu i nie miałem, i nie mam nieprzyjaciela!

ERNEST: Kto by się spodziewał!

ORONT: Dziękuję ci i powtórnie, najmilszy synowcze, żeś mię wyrwał z rąk bezbożnych! Wybacz, żeś złości ludzkiej wierzył! Oto żeby nagrodił i moje niesłuszne podejrzenie, i twoje serce tak życzliwe, wraz zapisuję tobie, zaprzysięgam i w dzierzawę oddaję wszystkie me dobra, sam przy starości mojej niewiele potrzebuję.

ERNEST⁶³: Ach, mości dobrodzieju! Byłbym szalony, gdybym na to zezwalał, żebyś się, waszmość pan dobrodziej, z dóbr swych ogołacał! Nie chcę, nie chcę! Trzymaj je, waszmość pan sobie, daruj i komu chcesz zapisuj, ja nic nie pragnę, tylko serca na mnie łaskawego.

ORONT: Nie może być inaczej. Jużem postanowił. I bojąc się, żeby złość ludzka znowu między nami jakiej różnicy nie uczyniła, wraz idę do kancelarii, żebym dziś jeszcze to przedsięwzięcie moje wykonał. Idźmy, proszę i waszmość pana z sobą, mości panie Sbrigani.

ERNEST: Ale to nigdy...

ORONT: Nie chciejże się mej woli sprzeciwić, jeżeli mię kochasz.

ERNEST: Tylko...

ORONT: Ale darmo. Słuchajże mię, jeżeli cokolwiek mię kochasz.

SBRIGANI: Ale mospanie, na takie obowiązki stryjowskie, trzeba się dać nakłonić. Czyń, waszmość pan, wołaj jegomością.

ORONT: Idźmy, idźmy.

(Bierze za rękę Ernesta i prowadzi).

SBRIGANI *(do ludzi mówi)*: Czyż nie łebski jestem do interesu? Czyż nie Sbrigani? Czyż nie Neapolitańczyk?

Opracował Patryk Kencki

⁶² W wydaniu lubelskim i lwowskim: wstyd nas.

⁶³ W wydaniu warszawskim omyłkowo: Oront.

NOTA EDYTORSKA

Edycję przygotowano z zastosowaniem *Zasad wydawania tekstów staropolskich. Projekt* (Wrocław 1955), odnoszących się do wydawnictw typu B (edycje popularnonaukowe). Korzystano również z praktyki wypracowanej przez wydawców „Biblioteki Pisarzy Staropolskich”, a także z doświadczeń przy edycji staropolskich dramatów w „Pamiętniku Teatralnym”.

Interpunkcję i pisownię poddano modernizacji, pozostawiając wszakże archaiczne formy, funkcjonujące nie tylko w pisowni, ale także w wymowie. Rozwinięto skróty tytułów grzecznościowych, pisząc je małą literą. Ujednolicono nagłówki poszczególnych aktów, scen i kwestii. Ujednolicono również sposób zapisywania didaskaliów.

Do przygotowania edycji posłużyły trzy warianty tekstu. Stanowią je kolejne wydania zbioru *Komedye przez X. Franciszka Bohomolca Societatis Jesu napisane*. Pierwsze z nich ukazało się w Warszawie w latach 1755–1758, drugie w Lublinie 1757–1758 i trzecie we Lwowie w 1758.

Wydanie warszawskie potraktowano jako podstawę, decydując się jednak na przejmowanie za późniejszymi wydaniem nowocześniejszych form (np. *bardzo* w wersjach lubelskiej i lwowskiej zamiast *barzo* w wersji warszawskiej). Jako że we wszystkich trzech wersjach kaleczenie polszczyzny przez Dreynara jest zapisywane w sposób niekonsekwentny, dążono do ujednoczenia tej stylizacji językowej.

W prezentowanej edycji zasygnalizowano głównie te odmianki tekstu, które wpływają na zmianę jego znaczeń. Obok nich odnotowano te, które wiązały się z charakterystycznością wymowy (werja lwowska). Wątpliwości były rozstrzygane przez porównanie z *Monsieur de Pourceaugnac* według wydania: Molière, *Œuvres complètes*, édition dirigée par G. Forestier, avec C. Bourqui, Paris 2010, vol. II.